

BLUSZCZ

Spółeczno-Literacki Miesięcznik Tygodnik Kobiety

ROK LXII

WARSZAWA, DNIA 4 MAJA 1929 ROKU

NR. 18

TREŚĆ NUMERU: Niefortunny projekt—*Dr. H. N.* O nową etykę płci—*Jadwiga Krawczyńska*. Poezje „Bohaterstwo“, „Wczoraj, dziś, jutro“, „Krzywdy“ — *Lucyna Krzemieniecka*. Zawalidroga (powieść) c. d.—*Herminja Naglerowa*. Skłamanie szczęście (c. d.)—*M. H. Szpyrkówna*. Na pograniczu miłości i śmierci—*Zofja Miszewska*. Feliks Jasiński — *M. Mossoczowa*. Z wystaw — *J. Z teatrów* — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu — *N. J. i j. k.* Ceremonjał dworski w Europie Zachodniej — *L. G.* Wystawn w seminarjum nauczycielek gospodarstwa domowego — *Pani Elżbieta*. Co radzić? — *Feliks Teodorowicz*. Odżywianie a zdrowie — *M. Morzkowska*. Nowe praktyczne znaczenie drobiu—*L. Gerlachowa*. Przepisy gospodarskie—*Pani Elżbieta*. Dobre rady. Dodatek „Nasza Mównica“. Dodatek „Mody i roboty“. Przy samochodzie—*Well*. Dodatek powieściowy: „Głos krwi“ — *R. Hichens*. Arkusz wzorów.

NIEFORTUNNY PROJEKT

Nie należy się dziwić, że niefortunny „projekt“, który przedstawiła pewna grupa pedagogów na dorocznym zjeździe Towarzystwa Nauczycieli Szkół Wyższych — wywołał żywy sprzeciw w społeczeństwie. „Bluszcz“ w szeregu artykułów omawiał samą kwestję obniżenia programu żeńskiej szkoły średniej, przyczem autorki (*Iwaszkiewiczowa* i *Rudoszańska*) były w projekt argumentami rzeczowymi z dziedziny pedagogii, zahaczając również o zagadnienia społeczne — o rodzinę.

I tak się właśnie stało, że po pięćdziesięciu latach wróciłyśmy niemal do tej samej argumentacji, z którą nasze pierwsze feministki szły do boju o prawa kobiety. Pięćdziesiąt lat w postępie, w jakim bezustannie posuwają się narody i społeczeństwa, znaczy ogromnie dużo. Jeżeli tylko pobieżnie zsumujemy ilość zdobyczy społecznych i politycznych, wypracowanych w pięćdziesięcioletnim okresie czasu, na podłożu idei demokratyczno - liberalnej, pojmiemy odrazu, że ludzkość dziś jest bardziej ludzka, że wielka zasada: równość — jest tej dzisiejszej ludzkości zwycięstwem i triumfem nie tylko społecznym, ale moralnym i etycznym. Co więcej — ludzkość nie spoczywa na laurach i coraz więcej się demokratyzuje w znaczeniu uprzystępniania każdemu zdobyczy kulturalnych i cywilizacyjnych. Z temi pojęciami które weszły już w krew dzisiejszych społeczeństw, nikt dziś nie ośmieli się walczyć. Bo formy realizowania tych pojęć mogą być rozmaite — jednakże zasada zostaje i jest nienaruszalna: „Wszyscy równi wobec prawa, wszyscy równi w obrębie praw obywatelskich“!

Wielki ruch liberalno - demokratyczny, który

objawiał się przez cały wiek XIX wstrząsami rewolucyjnymi i przemianą społeczną, sięgającą do podstaw ludzkich praw — musiał porwać z sobą także kobiety. Ich postulaty znalazły przecież uzasadnienie w idei równości, a przeciwstawiały się im jedynie szeregi zacofańców i ciasnomózgich egoistów. / zaciekłym konserwatyzmem tradycji walczył więc feminizm pod popularnem wówczas hasłem „emancypacji“, lecz w warunkach najmniej korzystnych, bo-
daj ze względów technicznych. Bo, gdy inne, dotąd krzywdzone, warstwy społeczne mogły drogą zrzeszeń, tajnych związków, strejków i nawet bardziej ostrymi metodami dochodzić swoich praw, gdy rewolucyjnie z bronią w ręku stawano na barykadach — kobiety, bez chęci i możliwości użycia tych metod, musiały jedynie słownym argumentem wywalczać sobie prawo dostępu do szkół, prawo pracy, prawo do obowiązków obywatelskich i prawo do równości ludzkiej. Jest to jedyne chyba w dziejach świata społeczne zwycięstwo, osiągnięte bez przelewu krwi!

Nie wolno jednak zapomnieć, że bojowniczkami o prawa kobiety zniosły więcej, niż ambicja osobnika, przeświadczonego o słuszności swoich żądań, może znieść — bo ośmieszanie, cynizm i lekceważenie. Było to *sui generis* męczeństwo dla idei, było to jakgdyby apostołstwo wśród szyderskich przyśmiejchów. Kamienowano urąganiem, obrzucano błotem poniżających inwektyw. Walka — powtarzam — bez znamion bohaterstwa siły fizycznej, a natomiast istotny bój ducha z zakisłą ciemnotą.

Gdy nastał okres odprężenia w walkach społecznych i politycznych, gdy niemal wszędzie już kon-

stytucje przeniosły teren walk do sal parlamentów — kobiety jeszcze stały przed bramami twierdz, broniących tradycji zacofania. Ale powoli, wytrwałością i nieustępliwością, zdobywały owe feministki i sufrażystki miejsce i przestrzeń dla swoich słuszych żądań. Aż przyszła wojna światowa, krwawy egzamin narodów i społeczeństw. Już w drugim i trzecim roku wojny okazało się, że w tem wielkim zmaganiu się siła rola kobiety jest pierwszorzędnej wagi. Okazało się więcej: — że kobieta, której odmawiano dotąd praw, kobieta temsamem nieprzygotowana do współpracy, samą intuicją wyrównała braki teoretycznego i praktycznego wykształcenia. Zdobyła sobie uznanie wysokich władz, podtrzymała ekonomiczny byt państw, nie dopuściła do nędzy rodzin, zasłużyła na błogosławieństwo wszelakiej mizerji cierpiącej i nieszczęśliwej. Kobieta wszystkich w wielkiej wojnie walczących narodów — zwycięzców i zwyciężonych, zdała egzamin w najcięższych dla niej warunkach, bo wśród cierpień psychicznych i moralnych, w bezustannym lęku o los najbliższych.

Jeżeli więc po wojnie w państwach nowopowstałych i odrodzonych konstytucje zawarowały kobiecie równouprawnienie bez zastrzeżeń, to stało się to w dobrze zrozumianym pospólnym interesie. Ani z łaski, ani z dobrej, litościwej ochoty mężczyzn! Polscy statystyci, składający paragraf do paragrafu konstytucji Rzeczypospolitej, nie mogli ominąć kobiet jedynie dlatego tylko, ponieważ wartość społeczna kobiet, ich wartość umysłowa, ich wysoka klasa ludzka narzucała się już czynem, zwaloryzowanym w nowopowstającej rzeczywistości polskiej. Nie zatrzymuję się tu z rozmysłu nad motywami sentymentu i wdzięczności za działalność kobiety polskiej w okresie niewoli. Jest to bowiem inna karta zasług, którą jak bibliję czytać będzie zawsze społeczeństwo polskie. Mówię tu tylko o czasach najbliższych, naocznych, dobrze pamiętnych — mówię o kobiecie polskiej w okresie wojny światowej, o jej czynach niedolicezonych, ale wliczonych w całokształt żywotnego czynu, za którym przyszła — wolność.

A teraz, idźmy dalej. Jesteśmy dziesięć lat państwem wolnem, niepodległem. W tych dziesięciu latach mieści się nasz wysiłek pracowity, choć niezawsze nieomylny. W obrębie tego wysiłku zamknięto bezustanne dążenia ku lepszemu. Rzeczywistość polska — to ciągle reformy, ciągle doszukiwanie się przystosowalnej do nas doskonałości. Nazywamy to eksperymentowaniem. Niech nas to nie przeraża — eksperyment jest bowiem w swej normalnej istocie drogą do postępu. Eksperyment rozszerza i ulepsza zdobycze, jest ruchem celowym, jest ewolucyjną erupcją, wyrzucającą nawierzchni błyski intuicji, aby je domierzyć następnie do praktyki życiowej. Ale biada społeczeństwu, gdy eksperymentatorzy cofają się wstecz, gdy ich inicjatywa nie tworzy nowych, przydatnych

form, lecz grzebie się w formach przestarzałych i strupieszających! Taki eksperyment świadczy bowiem o inercji tych, którzy wysuwają się szumnie i dumnie na czoło pracy umysłowej, społecznej, czy jakiegokolwiek innej.

Nasza rzeczywistość dzisiejsza jest bowiem sumą przelicznych działów i komórek pracy. W ogólnem gospodarstwie poszczególni wykonawcy może nie widzą całokształtu, ale ożywiać ich musi jedna wspólna idea: — dążenie naprzód. To ich łączy, to nadaje rytm i tempo postępowi. Jeżeli więc w tym momencie naszych rozważań wrócimy do kwestji, która pobudziła nas do zabrania głosu, jeżeli więc wrócimy do sprawy żeńskiej szkoły średniej — musimy tu stanowczo wystąpić przeciw zacofanym eksperymentom, które swoim ołowianym ciężarem mogą powstrzymać normalne tempo naszego pochodu naprzód.

Nie przytoczę tu całej litanji argumentów rzeczowych, tak umiejętnie i logicznie zebranych już przez pp. Iwaszkiewiczową i Rudoszańską, ale uderzę w inny dzwon. Czy odważyłby się ktoś dziś dyskutować poważnie na temat odebrania ludzkości „praw człowieka i obywatela“? Nie, nikt nie ośmieliłby się dziś uzasadnić kontrtezy — równości wszystkich wobec prawa! Niewzruszalność tych zdobyczy jest bowiem tak widoczna, jest tak zrozumiała, że ważkie kiedyś argumenty przeciwników wydają się teraz albo naiwnością, albo złośliwą sofistyką.

To samo muszę powiedzieć o tych „pedagogach“, którzy odważyli się wystąpić na poważnem zebraniu TNSW z projektem obniżenia programu szkół średnich żeńskich, wołając: „Kobieta może się kształcić — ale na szacunek nasz zasługiwać nie będzie!“ A jednak podobno znalazło się wielu wśród pedagogów, którzy poszli za głosem wymownego ołskurantyzmu. Podobno nawet jedna kobieta okazała niewiarogodne niezrozumienie wartości praw, wywalczonych i zdobytych także i dla niej przez inne kobiety. I to właśnie jest najsmutniejsze w tej smutnej sprawie! I to właśnie jest niepojęte, a w swoim niepojęciu — groźne!

Bo nie chodzi tu o zabawę w projektodawstwo, albo o chęć wyróżnienia się bodaj bezsenssem. Sprawa tkwi głębiej i zmierza dalej, niżby się zdawało. Tkwi głębiej — bo w złożach pospolitego egoizmu, lękającego się konkurencji kobiet w pracy zawodów umysłowych. Zmierza dalej — bo do stopniowego odbierania kobiecie jej praw. A pamiętajmy, że pierwszym prawem, o które walczyły kobiety, było prawo dostępu do wszystkich szkół i uczelni. Chciały się najpierw kształcić, najpierw coś umieć, zanim zaczęły się dopominać o prawa polityczne. Dziś, ktoś niepowołany, ktoś nieprzytomny od zaciekłości antifeministycznej, ktoś temsamem niewspółczesny i niedziśniejszy — próbuje odebrać kobiecie jej prawo do nauki!

I dlatego konieczny jest nasz sprzeciw mocny i kategoriyczny, mimo, że na pozór wystąpienie wnioskodawców jest tylko — pożalowania godnym incydentem i mimo, że dyskusja nad tym projektem ujawniła tylko prostactwo myśli i form u tych zacofanych pseudopedagogów.

Dowiadujemy się zresztą, że podobno ta jedna jedyna kobieta zamierza wystąpić z referatem o obniżeniu programu żeńskiej szkoły średniej — na międzynarodowym zjeździe nauczycieli w Hadze.

Nie wiem, w czyjem imieniu będzie tam prze-

mawiała, ale sędzę, że nauczycielstwo polskie potrafi zapobiec temu, by obrazek naszego wsteczniectwa wyświetlano przed obcymi. W domu, u siebie, niewątpliwie damy sobie radę z projektami niebezpiecznymi, czy tylko humorystycznymi; ale inaczej odnieść się do nich zagranicą, która będzie je może uważać za wyraz naszej umysłowości. Zanim więc przekonamy niewczesnych „reformatorów“, zanim przejdziemy nad nimi do porządku dziennego, trzeba przeciwdziałać tej niefortunnej akcji na forum światowym.

Dr. H. N.



JADWIGA KRAWCZYŃSKA

O NOWĄ ETYKĘ PŁCI

„Równouprawnienie kobiety jest fikcją, dopóki istnieje prostytutka i handel żywym towarem! Istnieje bowiem znaczny odsetek kobiet, egzystujących poza prawem, poza społeczeństwem, traktowanych, jak przedmiot, jak towar, pograżonych w niewolnictwie i sprzedawanych haniebnie.. Jakież ich człowieczeństwo? Emancypantki, które walczyły o prawa ludzkie i obywatelskie dla kobiety, nie miały odwagi, czy chęci, obalenia białego niewolnictwa wielkich zastępów kobiet... Dlatego dzieło wyzwolenia kobiety jest co najmniej połowiczne... Gdyż cień poniżenia, gdyż ujemny osad pada z tych upośledzonych na was wszystkie! Jak to być może, by kobiety XX wieku godziły się — wykształcone, samodzielne — na istnienie takiej instytucji, jak prostytutka? By nie porwały się zbuntowane przeciw takiej hańbie ludzkości, jaką jest sprzedaż człowieka!?...“

Oskarżenie to było już nieraz napisane i drukowane, prawie zawsze przez mężczyzn, przez mądrych i dobrych ludzi.

Oskarżenie to podgryza nietylko myśli każdej rozumnej kobiety, lecz nurtuje każde czujące serce, niepokoi, dręczy.

Nie chodzi zresztą o sentymentalne wzruszenia, nie chodzi o kilka westchnień łosnych a bezpłodnych, nie o frazesy i lezki, lecz o wagę rzeczywistej krzywdy ludzkiej, o realny stosunek świata kobiecego i świata wogóle do kwestji, która podrywa — jak słusznie to podkreślają umysły wnikliwe — treść równouprawnienia kobiety i podstawy jej stanowiska w społeczeństwie.

Jakaż jest bowiem powszechna etyka w sto-

sunku do prostytutki i kobiet, uprawiających nierząd — miłość płatną?

Idąc po linii najmniejszego oporu, przeciągnięto poprostu granicę między kobietą „uczciwą“, a „upadłą“ — granicę, tak surowo strzeżoną konwenansem hipokryzji, że kohorty żandarmów nie ustrzegłyby jej lepiej, niż to robi obyczaj już wielowiecznej pogardy i wstrętu, rzekomo moralnego. Osobne dzielnice średniowiecznych miast (zresztą istniejące jeszcze w wielu pozaeuropejskich krajach), przeznaczone dla urodziwych trędowatych, a dostarczające olbrzymich dochodów cnotliwym magistratom — to nieprzesadzony obraz stosunku etycznego społeczeństw do tej kwestji.

Abolicjonizm był rewolucją pojęć jeszcze nieukończoną, jeszcze daleką od realizacji. Abolicjonizm, który w imię idei humanitarnych i społecznych domaga się od państwa i prawa zniesienia wszelkiego wyjątkowego traktowania kobiet, żyjących z nierządu, a więc zniesienia domów publicznych, reglamentacji policyjnej, czy sanitarno-obyczajowej — propaguje również zmianę pojęć i stosunku społeczeństwa do ofiar prostytutki, zastąpienia nienawiści i pogardy, jaką się je otacza, przez opiekę, pomoc, leczenie fizyczne i moralne.

Pewien postęp w ciągu 50-lecia abolicjonizmu już daje się zauważyć — lecz jakże powoli ludzkość rezygnuje ze swego drapieżnego przywileju torturowania słabych i bezbronnych! Przeciw białemu niewolnictwu zorganizowano w latach powojennych międzynarodową walkę pod egidą Ligi Narodów i przy udziale organizacji społecznych. Lecz walka ta pro-

wadzona jest dotąd wstydliwie. Wszak w komisji Ligi Narodów spotykają się ze zdeklarowanymi abolicjonistami przedstawiciele państw, które z handlu białymi niewolnicami i z koncesjonowanych domów publicznych ciągną same, lub pozwalają swym obywatelom ciągnąć olbrzymie dochody. Wynajdują więc dość pretekstów, popartych „naukowo”, by nie opowiedzieć się za zreformowaniem istniejących stosunków reglamentacyjnych.

Niektóre państwa zwolniły policyjny terer nad nieszczęsnymi kobietami „publicznymi”; niektóre wydały szereg ustaw i rozporządzeń, które mają chronić młode dziewczęta i kobiety przed handlarzami i stręczycielami... lecz są to dopiero pierwsze, nieśmiałe, mało przez społeczeństwo poparte i słabo rozumiane kroki.

To też faktem jest, że, mimo pewnych nowych norm ustawowych i administracyjnych środków — niewiele posunęliśmy się ku zmianom w praktyce.

Gdyż w umysłach ludzkich, w psychice społeczeństw jeszcze nie nastąpiły zmiany, nie zaszły konieczne przesunięcia pojęć.

Powie może ten i ów, że nie chodzi tu o pojęcia, o psychiczne stany, lecz o fizjologję, o „naturalne i odwieczne” (hojnie tem słowem się szafuje) instynkty męskie, o... zdrowie. Te kwestje już są dziś dostatecznie bodaj wyjaśnione przez lekarzy higienistów i eugenistów, by prostytutkę przestać uważać za — „nieuleczalną”, no, ale niezbędną, wrzód społeczny.

Wskutek pewnej propagandy, o wiele jeszcze za słabej, wytworzył się w naszym społeczeństwie pewien nastrój przychylnego zainteresowania się kwestjami, związanymi z białym niewolnictwem kobiety.

Jednym z najbardziej uderzających i najtragiczniejszych faktów jest, iż prostytutka stanowi pole wyzysku i zagłady młodzieńskich, prawie wyłącznie nieletnich dziewcząt. Krzywda nabiera przez to cech potworności — staje się budzącą zgrozę przemocą urządzeń społecznych nad słabem stworzeniem ludzkim, wciąganiem różnemi sposobami, obietnicami i podstępem, w sieć, mocno związane przez procederyzistów, represje władz i pogardę powszechną — i skąd zazwyczaj niema już wyjścia.

Jak wykazują przybliżone obliczenia i potwierdza w całej rozciągłości życie — nierząd płatny uprawiają dziewczęta już od 12-go, 14-go roku życia. Większość prostitutek nie przekracza 25—30 lat życia; bardzo duży odsetek umiera w latach młodzieńczych na suchoty lub choroby zwyrodniające. Biorąc za podstawę statystyki warszawskie, przychodzimy

do przekonania, że nie mniej, niż 5% kobiet, w wieku 14—25 lat, należy do szeregów rejestrowanej i tajnej prostytutki. Na prowincji jest niewątpliwie odsetek mniejszy — w każdym jednak razie są to poważne cyfry, reprezentujące tysiące młodych istnień, wykończonych, anormalnych i zdegenerowanych.

Jeżeli te napiętnowane dzieci giną tak przedwcześnie, zanim osiągną rozwój fizyczny i umysłowy, jeżeli zaprzepaszcza się, zanim zdolne są do rozeznania swych postępów — społeczeństwo dorosłe ponosi odpowiedzialność olbrzymią. Trzeba, aby to rozumiały matki, wychowawczynie, działaczki, obywatelki — słowem, wszystkie kobiety. Aby pojęły, że koniecznością jest — inną, nową etykę zaszczerpić rosnącemu młodemu pokoleniu synów zarówno, jak córek.

W młodzież trzeba wpoić przeświadczenie o wartości miłości, opartej na uczuciu i porozumieniu duchowym, a uprzytomnić jej, że płatna rozkosz upadła zarówno kobietę, jak mężczyznę. Widmo podwójnej moralności, innej dla każdej płci, musi zejść z powierzchni ziemi. Inaczej — wracamy do początkowej tezy — niema mowy o równouprawnieniu i wyzwoleniu kobiety!

Wychowanie dotychczasowe, od średniowiecznych czerpiąc wzorów, obrzydzało rzekomo cielesność, lecz podstępna jej pogarda budziła niezdrową tajemniczość. Moralizowanie słowami padało w próżnię nudy — a ciche tolerowanie, a nawet zachęcanie młodych chłopców do korzystania z płatnego nierządu, sprzedawanie dziewcząt i eksploatowanie ich przez własne rodziny — ustanawiało granice życia erotycznego młodzieży.

Nowe wychowanie etyczne nie może polegać na sprzeczności między słowem a praktyką. Matki — i ojcowie, oczywiście — muszą mieć odwagę i wiedzę dostateczną, by pokierować swemi dorastającymi dziećmi. Nauczycielstwo i lekarze szkolni muszą iść ręką w rękę, aby prócz ostrzeżeń zdrowotnych, młodzież otrzymywała dostateczne wychowanie fizyczne, sportowe, hartujące ciało, charakter i wolę.

Są to wskazania tak proste, że wydają się wręcz naiwne. A jednak tylko tą prostą drogą zreformujemy etykę obu płci: tylko przez młodzież możemy dążyć w przyszłość drogami własnego ideału. Cynizm, bezmyślność i tępe okrucieństwo w stosunku mężczyzn do kobiety zastąpią pierwiastki społeczne: rozum i dobroć. Nic to, że dziś jesteśmy od tego tak bardzo dalecy. Dla nowych czasów — nastanie nowa etyka. Byle ją już tworzyć.



LUCYNA KRZEMIENIECKA

BOHATERSTWO

Mieszkać w starym domku obdrapanym,
kochać wąskie, splorniałe uliczki;
zdobić ściany pocztówkami,
kupionemi w małym sklepiczku.

Mieć białe, igłą pokłute ręce
i piersi słodkie, jak wiosna,
w kwietniu stawić w okienku kaczeńce
i, jak one, układać się do snu.

Lampę dnia wciąż zapalać nanowoc,
w oczy nabierać nieba
i, nie dziwiąc się własnym słowom,
cierpliwie mówić: trzeba.

WCZORAJ, DZIŚ, JUTRO

Jeszcze wczoraj błądziłeś w ulicach,
w tłumie dalekim i obcym.
A przecież byłeś tam niczem:
bladym, wysokim chłopcem.

Prostu jechałeś do mnie
szarym, zwyczajnym pociągiem.
Szykowałam Ci triumf ogromny:
łopocącą serca chorągiew.

A dla mnie się „wczoraj“ zaczęło
wieczorem, na Twojej pocztówce.
Słowo „przyjeżdżam“, jak przełom
stało się zwycięskim hucem.

Na zegarze potem myślała
ostatnia godzina bez treści.
Tyś wszedł, drzwi się otworzyły,
jak w banalnej, niemodnej powieści.

Na alarm dziś dzwonił niepokój,
uderzał, szturmował do okien.
Myśli gonili wokół
szalonym, nerwowym krokiem.

A jutro już będzie znowu
bezkłopotne i ciche wszystko,
będą więdnąć wczorajsze słowa:
niepotrzebne, zerwane listki.

KRZYWDA

Wiem, że w rozgwarze tej sali każdy radosny mój taniec
jest krzywdą Twoą, starsza siostrze o twarzy popielatej.
Jakżeż Ci wynagrodzić, że wędziesz jak kwiat przy ścianie,
a każdy mój brat najlepszy jest Tobie najgorszym bratem?

Myśli roztrzępotałe, jak srebrne zórami klucze,
próżno myślasz w przestrzeń, by zamknąć krzywdzącą niechęć.
Błękitnej swojej tęsknoty nikogo nie możesz nauczyć,
bo nikt za uśmiech Twojej twarzy nie chce zapłacić uśmiechem.

Chciałabyś wszystkich pokochać, a nikt Ciebie o to nie prosi;
mogłabyś pieścić słowami, a nikt nie uwierzy Tym słowom.
Jedną masz tylko przystań u matki swej sierotowej,
gdzie już na wieki wieków obrona została królową.



HERMINJA NAGLEROWA

2)

ZAWALIDROGA

(Powieść)

Zastłoniłby najchętniej uszy, aby nie słyszeć monotonnego szeptu. Taksamo męczył go w dzieciństwie długi i niezrozumiały pacierz. I wśród szeptań matki ukazał się właśnie pokoik na wsi i jesionowa szafa z wyłobionym w drzwiach owalem. Otworzył się bezmiar sufitu, malowanego w złote gwiazdy. Zadługiem patrzeniem w ten sufit można było zawsze wyczarować przepaścistą głąb. Ze ścian, gdy zgaszono światło, wychodził strach dzieciństwa, klębił się, jak para, i przeciągłem huczeniem wdzierał się w sen.

Nikt nigdy się nie dowiedział, jak bardzo się bał tego szumu nocy i jak bardzo pragnął, aby właśnie szumiała niepojęta groźba ciemności. Poprzez huczący strach szło się przecież w nieświadomość snu. A własny krzyk, który nigdy nie mógł wykrzyczeć się głośno, był rozkoszą i dlatego trzeba go było przed wszystkimi zataić.

Franek już prawie zasypiał, gdy matka powiedziała dobitnie, jakby z nakazem:

— Więc będziesz spokojny, bo ja pewna jestem, że zdasz.

Otworzył oczy na różowe widowisko. Mała, ciepła dłoń pogłaskała go po policzku. Ucałował ją pobieżnie, jak to czynią dzieci, śpieszące się do swoich zabaw.

— Teraz już chyba pójdzie sobie!

Zgiął róg poduszki i podsunął pod głowę. Usłyszał w mierzwie pierza odbite skrzypienie drzwi i ucieszył się, że matka naprawdę wyszła z pokoju. Wybity ze snu, nawrócił do swoich spraw. Nieoczekiwanie zabolala w mózgu gonjometryczna formuła. A więc tkwi mocno, pamięta! Koślawe literki greckiego alfabetu, jak dziwaczne stworki, jak garbate karły, tańczyły w nawiasach i przed nawiasami, wlokły za sobą belkę minusu i krzyż plusu. Był prawie szczęśliwy, gdy ruszyło się złote, płynne powietrze, zmazując cyfry, litery, słowa i zdania. I, jak co nocy, spłynęły przedsenne dziwowiska, złożone maski, złote kwiaty i liście, złożone arabeski, bezustanne w ruchu, jakby posłuszne kapryśnej woli zasypiającego.

Ale znowu głos matki wyrwał go ze snu. Nie słyszał, kiedy weszła.

— Gaszę światło. Musisz się przecież wyspać!

Nie otworzył oczu, udając, że śpi. Objęła go i ucałowała w kark. Poczul zapach perfum, irytujący i przykry. Franek rozbudził się zupełnie i ze wzburzeniem, prawie ze złością pomyślał znowu: „Ty nie jesteś — matka!“. Właśnie za ten pocałunek i za wszystko inne!

Może nigdy tak dobrze, jak w tej chwili nie ro-

zumiał, czym jest to „wszystko inne“. Niezawsze zresztą mógł o tem pamiętać i rozmyślać nad tem. Teraz, gdy trwał zapach perfum, mogły się przypomnieć najprzykrzejsze sprawy. Choćby tylko to, jak wychodził z matką do miasta na zakupy, kończące się prawie zawsze sprzeczkami o byle co. Matka szła obok niego niemal skocznym truchcikiem, rozrzucając siebie w uprzejmych souvenirach wszystkim przechodniom. Widział, jak się zapalały światełka uśmiechów na czyichbądź łakomych ustach, albo smęciły się wstążeczki blasków, wysmużanych z czyichbądź oczu. Nietrudno było dostrzec, jak się matka cieszyła temi sukcesami, jak młodziła, poprostu — haniebnie.

A przecież kto, jak kto, ale matka powinna dać swoim latom oblicze prawdy. POCO ukrywała, naco jej to było potrzebne? Znał matki kolegów — rozmaite, najrozmaitsze matki. Jedne w zatłuszczonych fartuchach na dyni brzucha, inne śmiejące się ku swoim synkom paciorkami sztucznej szczęki. U innych w zwiotczonych policzkach ryła się troska z powodu synowskich dwójek. Inne były wstębnowane spłowiałą młodością w szarą, biurową pracę. Znał i takie, które spłoszonymi oczyma przeganiały fochy męża i rozkrzyczaną, pyską butą synalka. Znał też matki wesołe i dobre, którym można było wszystko po przyjacielsku powiedzieć. Były także dokuczliwe i złe, śmieszne i głupie matki. Ale można je było wszystkie łatwo zrozumieć i ocenić, prawie odrazu wiedziało się, że ta jest taka, a tamta owaka.

A tylko swojej własnej nie znał i nie rozumiał. Była inna, niepojęta, cała jakby otulona w swoje własne, przed synem zatajane, sprawy. I dlatego musiał z podstępna chytrą badac i śledzić, musiał zdaleka, ze wstydem i z ciekawością podsłuchiwać jej obraźliwy śmiech, aby cośkolwiek zrozumieć, cośkolwiek wiedzieć. Zaczajony w szpiegostwie, obnosił nigdy głośno niewypowiedziany, surowy osąd.

Ta odrębność i samoistność życia matki trzymała syna w zagniewanej odległości. Nie było przecież podejścia do matki, bo nic nie mogło się nadać, nic objawić szczerze i prosto. Zresztą nawet to niby zainteresowanie, okazywane niekiedy synowi, było raczej wymuszone. Franek wiedział, że to się nazywa — spełnieniem obowiązku.

Zacinał zęby, aby się nie wydarła z serca prawda. Nie wolno dopowiedzieć wszystkiego nawet sobie, nawet sobie w najgłębszej tajemnicy. Już nuda w sercu i mdła szarość przed oczyma wystarczą, aby zrozumieć, że nie wolno wszystkiego dopowiedzieć. Franek walczył ze złem słowem, ze złą myślą o matce. Aż dostrzegł, że zмага się tylko sam

ze sobą, bo matka była już poza obrębem tych spraw, niedotknięta złem słowem, niewzruszona jego rozżaleniem, ani pognęłona potępiającym osądem. Nie mogło jej przecież nic osiągnąć, skoro w sercu syna trwała ukryta, rozpaczliwa i zawzięta miłość do matki.

II.

Ceremonjał maturalny włókł się od paru godzin i Franek przeszedł już wszystkie fazy tremy. Teraz niemal sennie poddawał się zaczepności pytań. Marmotał, napominany surowo: „Proszę głośniej!“. Nad zielonem suknem snuła się szara obojętność. Czyjeś nietaktowne usta ziewnęły szeroko i jawnie, choć szło właśnie o ważną kwestję — o prawa sejmu i ugrupowania polityczne w Polsce współczesnej. Egzaminator podróżował wzrokiem po pęknięciach sufitu, a Franek wyszeptywał swoją wiedzę bez zająknięcia wprawdzie, ale z zastraszoną mową.

Niewiadomo dlaczego wdzierał się w zaciekną faktów migawkowy przelot jakiegoś skrawka rodzinnej wsi. Strzępiasta ścieżka między, pochłonięta przez wysokie, żółte zboże, albo nikły kwiatek, albo w grudeczkę zeschły ślad kopyt. Poza słowami, które wykladało się tu z ważnym namysłem, ułożyła się zwrotka:

„I cóż, że to tylko miedza,
Na której kwiat cykorji
Śni błękitnie, aksamitnie
O niebieskiej glori!“

Ale już trzeba było pośpiesznie wydobyć się na twardy grunt rzeczywistości. Jak nitka z kłębka, rozwijała się teraz sprawa — exposé budżetowego. Franek wielbił potem angielskie pochodzenie parlamentarnych metod i panegirystę angielskiej konstytucji, Monteskiusza. Można tu było popisać się znajomością nazwisk i tytułów, aby wreszcie z przekonaniem potępić praktyki Walpole’a i wykazać w ten sposób ujemne strony parlamentaryzmu. Franek aż sam się zdziwił, że jest takim przeciwnikiem parlamentu, bo w rzeczywistości, doprawdy, niewiele się o to troszczył. Ale tak właśnie wyszło z zestawienia historycznych faktów, z tych wszystkich awantur, od Wielkiej Karty począwszy, że z pierwotnego entuzjazmu dla konstytucji angielskiej nie zostało już nic prócz sceptycyzmu. Nie było to widocznie po myśli egzaminatora, który jakimś słoweczkiem usiłował nawrócić Franka z mylnej drogi. Ale delegat ministerstwa chlasnął potakująco obwisłymi policzkami i życzliwym uśmiechem przerwał nieomylnie, jak się okazało, wywody młodzieńca.

Wtedy było już obojętne, co wyświegotało pióro nauczyciela na protokularnym arkuszu, bo wysokie

poparcie delegata rozstrzygało. Franek usunął się w kąt sali, a tymczasem wezwano Janka na dziejowe harce.

Można było, doprawdy, wściec się, patrząc na kunsztowny układ rąk „Adonisa“, na te salonowe zwroty i obroty głowy pięknego przyjaciela. Franek, wściekając się, podziwiał atlas czarnych włosów i błądy obłoczek rumieńca, rozpięzchły po smagłych policzkach. Bez trudu można było stwierdzić, że całe profesorskie gremjum, z delegatem na czele, tonie w zachwycie dla długich rzęs Janka-Adonisa i dla tych, przezornie spuszczonej, cienkich, żółtawych powiek. Zaspane dotąd oczy profesorów mrugnęły radośnie i zaszklily się czułością. Uszy zdawały się głuche na niewątpliwe nonsensy, piętnujące odpowiedzi Janka. Bo czemże była walka o Bałtyk i świetne zwycięstwa Batorego wobec wiśniowych warg Adonisa, które pomijały daty, przeinaczały fakty, byle wreszcie dotrzeć do polskiego portu, do Gdyni i Pucka.

Ale nareszcie, nareszcie chłopcy wybiegli na złote światło ulicy. W głowie szumiało jeszcze gorączką, jeszcze czad oszołomienia mącił myśli. Przyjaciele nie mieli odwagi spojrzeć sobie w oczy. Coś, jak wstyd, jak pusty śmiech czało w gardle. Szli daleko od siebie, zagarnięci popłochem ulicy. Wrzask sygnatów samochodowych spędzał ich z jezdni, tramwaje dzwoniły tuż przy uszach, ludzkie łokcie potraçały nieprzytomnych. W słońcu i w cieniu grzała tasama wewnętrzna gorączka, czerwonymi plamami znacząc wszystkich i wszystko.

Dopiero, gdy Marszałkowska buchnęła gwałtem od dworca, tłum wparł chłopców na siebie. Stuknęli się ramionami i żywy śmiech rozdarł wargi. Zęby błysnęły rubasznie:

— No, bracie, udała się komedja!

Ucisnęły się, zlepily spocone ręce i odrazu stało się jasno od beztroski. Jasno i pusto — bo naraz zabrakło wszystkiego: postanowień na najbliższą godzinę i planów na jutro, pojutrze. Trwał tylko na ustach uśmiech głupi i bezradny.

Szli teraz wolno, trzymając się pod ręce. Coś sobie wspominali śmiesznego, nad czemś poważnieli, nagle stroskani i niezadowoleni. Ulica płynęła mimo, a po żrenicach przesuwiał się ten bieg, niby zbeltany dym. W składzie papieru stała w zielonej ramie drzwi dziewczyna. Błysnęła ku chłopcom turkusikami oczu i znajomym, wyczekującym uśmieszkiem. Uklonili się i przeszli.

— Trzeba może Jadzi powiedzieć?

— Najlepiej: nadać w radjo, będą wiedzieli wszyscy!



SKŁAMANE SZCZĘŚCIE

— Jak ta ciotka, co to my już na jej śmierć czekali i czekali, umarła, to, powiadał: — czy myślicie, że mi na waszych głupich pięciuset czy pięciu tysiącach koron będzie zależało, kiedy moja żona dostanie milion dwakroć stotysięcy? Teraz — powiada — nie tylko tu, ale w każdym banku zakredytuują mi tyle, ile zechcę! — I tak, jak to wielki pan potrafi biednego żydka zawstydzić, zaczął nas wyśmiewać; dosyć, że ja zostałem, jak byłem, z moim długiem, a ten drugi, co ze mną jest, to on mu jeszcze potrzebował pożyczyć tysiąc koron na drogę! — Bo, powiada — nie zdążę już do żadnego banku zadepeszować! No i my sobie czekamy, i czekamy, i naszych pieniędzy ani słyhu! Pan baron przysłał do jednego tutaj list, że sprawa jest dobra, ale potrwa może i z rok, bo są formalności, ale że potem nam zato z większym procentem zapłaci; a tymczasem żydki mówią, że ten cały interes ze spadkiem to pękł, bo ta ciotka zupełnie komu innemu potrzebowała cały ten kapitał zapisać! I pan baron sobie pojechał za wielką granicę, a o pani baronowej, z przeproszeniem, powiadają we wsi, że pani baronowa jest uroszkę chora na głowę. To my teraz nie wiemy, co my mamy być? I ja do tego drugiego powiedziałem tak, że ty, Zylberman, rób, jak chcesz, a ja do tej pani sam pójdę i za swoją dzierżawę jakiś pieniądz muszę dostać, bo to nie jest żaden interes, taki interes, tylko to jest wielki szwindel, ot co to jest!

Zaperzył się i nagle wpadł w gniew. Wstrzymał go ruchem ręki.

— Jaką pan miał umowę z mężem?

— Nu, to pani baronowa nie wie, jaką umowę? Za ten pałac i park po pięćset koron, a ten drugi, co jest ze mną, to on za meble i wszystko także nie dostał nic, tylko tę zaliczkę, co mu tamten Wacław dał, przy wynajmie rok temu! Nu, a kto to zechce czekać drugi rok?

Nogi się podemną ugięły. Dzierżawa. Wynajęte rumowisko i wynajęte żydowskie graty! To było rodowe dziedzictwo mego męża! Nagła błyskawica zrozumienia oświeciła mi rozmaite fakty. Więc stąd ten wybuch pasji przy zawodzie co do spadku! Więc wynajęła — i to przez Wacława!... — te ruiny na bleff, na rzucenie piaskiem w oczy, żeby przeczekać, aż wyratuję go z nędzy! Ale przecież nie mógł zgadnąć, że ciotka umrze prędko? Liczył więc, zapewne, że da mi posag, że jeśli zresztą nie da, to albo zdobędzie go jakimiś machinacjami, albo — zajdą inne okoliczności esprzyjające! W każdym razie, zerował na spadku ciotki widocznie wiele wcześniej, niż mnie myśl o tem zaświtała w głowie! I to ja zatem byłam dywersją, jaką odciągał od swoich długów uwagę wie-

rzycieli, zwracając ją na nadzieję milionowego dziedzictwa? A to, co było tu dokoła, nawet to!... — było zainscenizowaną naprędce dekoracją, wynajętą od żyda... który mu lżył za nabieranie?!

Usiadłam obok biurka, usiłując zahamować drżenie głosu. O, jakże chętnie rozplakałabym się gorzko, jak dziecko.

— Mąż ma istotnie bardzo wiele spraw obecnie na głowie w związku z rozmaitymi interesami. Ale ja to załatwię sama. Proszę przyjść do mnie... pojutrze. Dostanie pan jakieś pieniądze napewno. Ale muszę sprawdzić kwity i rachunki.

Tak się narazie załatwiło. Nie sprawdzałam kwitów i rachunków, bo — nie miałam pojęcia, gdzie są i czy są. Ale natomiast posłałam po księdza, który mówił po polsku i który chrcił Hanuskę. Był zaafektowanym, ale raczej życzliwym dla mnie człowiekiem. Po wysłuchaniu moich relacji — sprawa rozwodu była mu znana ze spowiedzi — chwilę milczał, bębniąc po stole. Wreszcie odchrząknął.

— Jestem naprawdę w trudnym położeniu. Baron... rzeczywiście poczynił tu sobie bardzo lekkomyślnie, bardzo lekkomyślnie! Obcy, przybysz, musiałby zadzierzgnąć stosunki, umocnić się... Tymczasem, obcował tylko w kompanji notorycznych hulałów i birbantów, których w każdym środowisku można znaleźć, a dzięki pewnym zręcznym manewrom potrafił wmówić ludziom, że ma miliony do dyspozycji. Przecież zapewne cbiło się już teraz pani o uszy, że jako powód zamieszkania w tem pustkowiu podawał — pośrednio, niby przez tego kamerdynera Wacława — jakoby chorobę umysłową pani, która uniemożliwia na czas jakiś przebywanie w rodowym majątku na Węgrzech. Ktoś tam jednak dotarł do tego rodowego majątku, no i przekonał się, że czterysta lat temu istotnie należały te dobra do rycerza tego nazwiska, ale obecnie są tam rezerwaty państwowe. Tak! Moje dziecko, chciałem powiedzieć: pani baronowo, sumiennie to trudnoby mi nawet radzić pani dłuższe pożycie z człowiekiem o tak, hm!... niepewnej opinji! Kto... kto pani pozwolił za niego wyjść? Czy, przepraszam! uciekła pani może z domu wbrew woli rodziców?

Zaczerwieniłam się po same uszy i spuściłam oczy, pełne łez.

— Nie miałam rodziców, proszę księdza, już od wczesnego dzieciństwa, a wydano mnie za... mego męża... bo oświadczył się i wyglądał na wspólną partję... a ja byłam na łasce u ciotki... właśnie tej ze spadkiem... Była już bardzo stara, baron umiał ją usposobić... Nikt mi nie radził i... nikt mi nie broił. Jedynie...

Chciałam powiedzieć: — Jedyne babunia i dziadus mnąby się zajęli!... — ale powstrzymałam się w sam czas. Nie, ksiądz nie powinien był wiedzieć, że miałam kogoś, aby się ostatecznie schronić! Drżałam, aby nie wiadano jeszcze na leśniczówce, co i jak stało się z moją sławną „karjerą”. Przełknęłam więc i dokończyłam szybko:

— Jedyne moja kuzynka wiedziała, mam wrzenie, o... właściwym stanie rzeczy, ale... zdaje się, że miała w tem swój cel... Ta, która dostała spadek..

Nagle łzy zaczęły sypać mi się z oczu na szal, jakim stale chodziłam okryta od zimna. Ach, było mi tak nieskończenie samotnie i ciężko! Proboszcz z politowaniem poglądził mnie szybko kilkakroć po głowie i po ręce.

— Moje dziecko, moje dziecko, twardy masz los, prawda! Ale nie trzeba rozpaczać i tracić ufności w Boga. A przytem, powiem szczerze, że baron, mojem zdaniem, prędko tu nie wróci: za bardzo nasiedliby go wierzyście. Grał dużo i zaciągał po żydach dług. Czy kazał pani podpisywać cokolwiek?

— Mnie? Raz.. czy dwa...

— Hm! To źle. Trzebaby się jakoś inaczej urządzać, obmyślić... Cóż po siedzeniu w tych rumowiskach? Trzeba płacić dzierżawę, zimno, samotnie... Mojem zdaniem, powinna pani przebyć tu, z uwagi na zdrowe powietrze i lato, najwyżej do sierpnia, a potem wrócić do Polski! Zawsze, co swój kraj, to nie obcy. I prędzej znajdzie się ktoś z krewnych, czy żyjących... Żydków proszę przysłać do mnie, no i jeśli by można, trochę gotówki. Jakoś postaram się jeszcze przetrzymać, żeby pani nie nachodzili. Ale długo nie obiecuję, bo są za sprytni, żeby nie zwiedzieli się prawdy. I żeby to chociaż spadło na kogo starszego, doświadczonego... bardziej zahartowanego... Ha! Kogo Pan kocha, tego nieraz doświadcza. A jakże tam malutka, już duża panna? Co?

Duża panna miała wtedy dwa lata i była rozkoszna, jak tylko stworzenie w tym wieku być może. Po mnie wzięła złote włoski i cerę, ale zato pyszne, czarne oczy były oczami ojca. Despotyczna była także po ojcowsku i tyranizowała nas nieprawdopodobnie, a my wszyscy ulegaliśmy i czyhali na nowe okazje do upokorzeń. Franciszka posypywała piaskiem z wiaderka po łysinie, Dorotkę ciągała za warkocze. Na Dogu musieliśmy ją wozić co rano dokoła gazonu, a w jadalni pluszowy niedźwiedź miał własne nakrycie i jadł z nami bezwzględnie śniadania, bo „jeśli Bulus nie wie kaśki, to i Hanusia nie wie jeć kaśki!...” Więc Burus w czerwonej kokardzie z góralskiej wstążki Dorotki jadł kaszkę, uważnie obserwowany przez moją jedynaczkę, czy aby je grzecznie i nie „sipie klopek na faltusku”. A ja

szyłam maluchne fartuszki, te właśnie, na które „sy-pała kropelki”, pijąc mleko ze zwróconemi zazdrośnie na Burusia wielkimi, czarnymi, poważnemi ślepkami. Ach, ta moja córa! Zasłoniła mi cały świat, i śmieszne to, a jednak prawdziwe, że te dwa lata bez męża, a tylko z nią, mimo że w ruinach, niewygodzie i rozterce moralnej, porzucona, sama, wbrew zalewającej mnie fali życia: czułam się prawie... prawie szczęśliwa! Pieniądze wprawdzie topniały, bo płaciłam dzierżawę i utrzymanie nas czworga, ale dopóki miałam swój skarb — ją — czy mogłam czuć brak cegokolwiek?

A jednak ksiądz miał rację: trzeba było pomyśleć o przyszłości. Utknęłam na jedynej możliwości: Dominika! Rozważyłam sobie tak, że pojedę do niej, postaram się wyszukać jakieś możliwe zajęcie (jakie?) — i potem, za wszelką cenę, udam się do babuni na leśniczówkę. Musiałam jakoś staruszcze wszystko powoli opowiedzieć! Ale powoli, sama, nie nagle, nie ze łzami, nie w ostatniej rozpacz! Przeciwnie temu buntowała się cała moja duma. Musiałam już coś naprzód mieć na widoku, żeby się zjawić u nich! I od jesieni postanowiłam właśnie w ten sposób przygotować sobie grunt. Z nadzieją wydostać jakieś zabezpieczenie od męża rozstałam się dawno: incydent z dzierżawą i meblami oraz rozmowa z proboszczem przekonały mnie dostatecznie. Byleby go więcej nie widzieć! Byleby nie musieć rzucić mu w twarz słowa, na które zasłużył!

Działo się to w czerwcu, i właśnie, żeby urządzić sobie zawczasu potrzebne przygotowania, napisałam do Dominiki. Powrotna poczta przyniosła mi jednak rozczarowanie. Była panna służąca pisała właściwym sobie stylem bezsentimentowym, jak następuje:

„List Wielmożnej Pani dostałam, i śpieszę donieść, że bardzo żałuję, ale ten zamiar, co do zamieszkania, to teraz trudnoby było zrobić, a nawet, powiem szczerze, zupełnie niemożliwie. Bo los mój się od tego czasu zmienił, i teraz już od pięciu miesięcy donoszę, że wyszłam za mąż. Trafił się człowiek spokojny i nie pijący, a także dobry katolik, więc i dla czegoż? W samotnej starości, wiadoma rzecz, można żyć tylko będąc bogatego stanu, jak pani nieboszczka baronowa. Jednak również nie najśłodziej, mimo że i sługi, i papugi. Co mąż, to nie obcy — choć naturalnie, jak kóten się trafi. Dlatego teraz potrzebujemy całego mieszkania, bo mąż ma introligatnię, i ten pokój, co myślałam, zajęty jest pod warsztat. Może jednak mogę dopomóc w poszukiwaniu czego odpowiedniego. to proszę donieść, od kiedy, a miłym sercem zajmę się, żeby wszystko załatwiło się jaknajlepiej”.



ZOFJA MISZEWSKA

NA POGRANICZU MIŁOŚCI I ŚMIERCI

Od szeregu lat toczą się już dyskusje na temat: wolno, czy nie wolno wydobywać na forum publiczne osobiste, jaknajbardziej nawet osobiste sprawy naszych Wielkich i Znanych.

Dyskusja ta stale się jednak obraca w kole suchej teorii, gdyż praktyka dawno już rozstrzygnęła to zagadnienie, pod znakiem ciężkiego gatunkowo hasła: w imię nauki!

Hasło to jednym zamachem odsunęło poza nawias możliwe komplikacje etyczne, wygładzając starannie wszelkie powikłania sumień, wygładzając tak dalece, że nikomu z ogłaszających listy, lub intymne zwierzenia wybitnych ludzi, nie przychodzi na myśl uzasadnić to swoje „bezprawie”, które dawno już stało się prawem i nakazem.

Wyjątek jednak stanowi Michał Pawlikowski: ogłaszając, wraz z Marylą Wolską — listy i pamiętniki Grottgera w swej pięknej książce p. t. „Arthur i Wanda” *), uzasadnia on poważnie myśli i prawa, jakie nim kierowały.

W prologu już zaznacza Pawlikowski:

.... Jeżeliśmy się zdecydowali tutaj na naruszenie tajemnicy listów prywatnych, i to takich listów, podając je w pełnem



Artur Grottger—Z roku głodu na Huculszczyźnie
(rys. kredką)

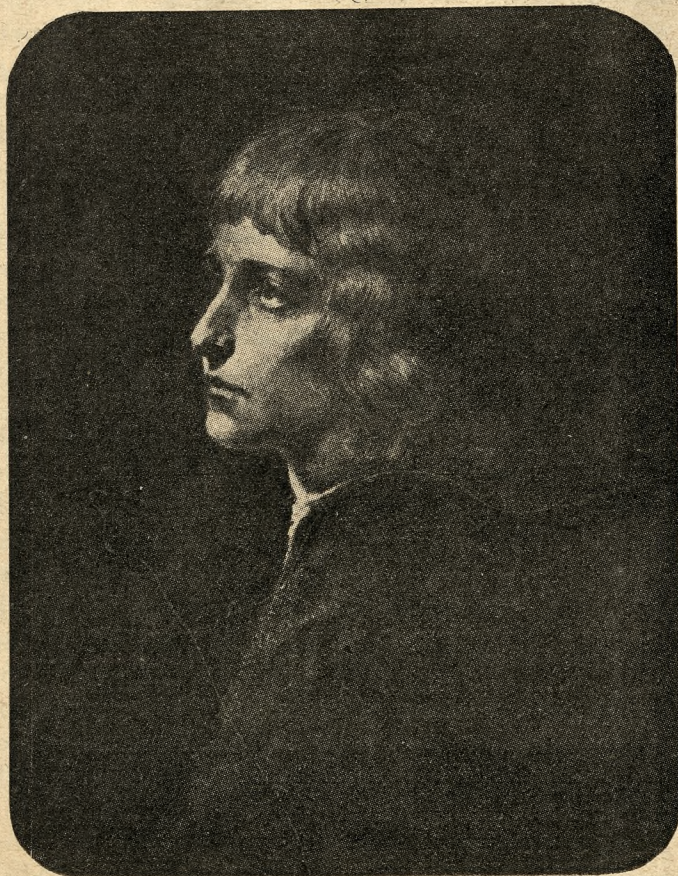
brzmieniu, to w tej tylko myśli, aby (te) krzywdę zmniejszyć. W tej myśli, aby, poznając Arthura Grottgera takim, jakim naprawdę był, można go było pokochać, pokochać za to, że ani głód, ani mróz, ani codzienny wiatr w oczy, ani opuszczenie, ani najbardziej gorzki zawód — nie potrafiły jego, ani jego dobrej woli złamać“

Z ustępu tego jasno wynika stanowisko Pawlikowskiego w stosunku do „naruszania tajemnicy listów“: jeszcze wyraźniej rysuje się nam jego nastawienie uczuciowe, gdy zwrócimy uwagę na motto, jakim zaopatrzył pierwszy rozdział swej pracy. Jest to urywek z listu Wandy Młodnickiej do Korrela Ujejskiego:

.... Dziwne, jak się to poufne słowa wieszczów narodu uważa za własność ogółu; jak się te, nieprzeznaczone dla nas myśli chciwie chwyta i bada, chcąc dna źródeł dojść. A jednak w tem chwytaniu naszym wiele jest miłości i może w jej imię przebaczą nam duchy...”

Duch Grottgera napewno przebaczy Pawlikowskiemu to wydobywanie na światło dzienne jego najserdeczniejszych przeżyć i bólów: praca została dokonana z niebywałym pietyzmem i z dużą wrażliwością zarówno na tło epoki, jak i na psychologiczne światło-cienie bohaterów tego, tak poetycznego, romansu. Bo jednak życie Grottgera, aczkolwiek wykute z twarde-

*) Maryla Wolska i Michał Pawlikowski: „Arthur i Wanda”. Medyka — Lwów. 1928 r.



Artur Grottger—„Tęsknota”
Paryż 1867 (rysunek, postany na dzień imienin Wandy)



Artur Grottger—Portret Wandy Monné („w różach“).

go kamienia, rozpadało się na dwie jednolite części: sztukę i miłość. Dzieje jego twórczości artystycznej były już omawiane w poszczególnych monografiach; Pawlikowski w pracy swej uwzględnił tylko miłosne dzieje wielkiego twórcy. Kierunek ten zaznacza się już w intytlacji poszczególnych rozdziałów, jak: Młodość, Miłość, Rozłąka i Powrót.

Całość przedstawia niesłychanie bogaty dokument biograficzny i obyczajowy. Listy Grottgera — najpierw do rodziny, a potem do ukochanej Wandy — dają nam poznać wartość tego człowieka i jego życie ze strony zewnętrznej i ze strony uczuciowej. Dlatego tak dokładnie zaznaczam te punkty, że w listach artysty nie znajdujemy ani jego światopoglądu, ani struktury filozoficznej. Jeżeli nawet chodzi o psychologję jego twórczości, znajdziemy w listach tych niesłychanie mało danych, oprócz prostych stwierdzeń, że prąduje nad tem, a nad tem.

Znajdujemy natomiast psychologję miłości o rozległej skali. Od pierwszych odruchów rodzącego się uczucia począwszy, od owej sceny na balu strzeleckim, sceny ich pierwszego spotkania, aż do tego zakłętego w naiwnych nieco słowach morza miłości, przesuwają się nam przed oczami te poetyczne dzieje, wycięte niby ze starego, sentymentalnego romansu: Miłość od pierwszego spojrzenia, mocna i wierna aż do granic śmierci, co mówię! poza śmierć nawet — miłość szesnastoletniego dziecka i zupełnie dojrzałego

mężczyzny. Listy Grottgera i pamiętnik Wandy rzucają nam przed oczy obrazy tak poetyczne, że aż się czasem nie chce wierzyć, by mogły być rzeczywistością. Np. pierwsza scena serdeczna między nimi, scena malowania portretu Wandy „w różach“, albo scena ofiarowania jej pierścionka i klejnocików „z sówką“. Wtedy właśnie, gdy wkładał jej pierścionek zaręczynowy, zgasła świeca, płonąca w pokoju. Ten znak złowróżbny zrozumiała jednak Wanda dopiero dużo później. A sam język listów, naiwnie dziecięcy, a mocny w swej wielkiej tkliwości, a te rysunekczki, ilustrujące życie Grottgera, te jego zabawne karykatury, przysyłane ukochanej w każdym niemal liście — wszystko to mówi samo za siebie i dziś jeszcze wzrusza ludzi, dalekich czasem i nastrojami.

Obok walorów czysto uczuciowych listy te nie odkrywają żadnych wielkich tajemnic, ani nie rzucają nowego światła na stare dzieje. Tu nikt nic nie oświeśla, ani nie tłumaczy: listy i kartki pamiętnika mówią same za siebie sentymentem treści bezpośredniej i pośredniego, bo przezuwanego tylko, nastroju pozostałych kart i białych liter.

Zasługą wydawców i punktem, na którym silne piętno wybiła ich wielka kultura umysłowa i artystyczna, są tak zwane „scenariusze“. Trzeba było doprawdy wielkiego znawstwa epoki i wykwinętego stylu, aby tak pięknie odtworzyć życie dworów, dworów i pałacików, z ich pełnemi uroku, starymi wnętrzami, o tajemniczo skrzypiących posadzkach, starych sekretarzykach i serwantkach, oraz portre-



Artur Grottger — Portret Wandy Monné („z sówką“)



Artur Grottger—ostatni autoportret olejny (uszkodzony)

tach pudrowanych pradziadków i wiotkich prababek. Epoka była przełomowa, popowstaniowa, a przynajmniej tę tylko Pawlikowski bierze w ściślejszą rachubę. Czasy przedpowstaniowe, krakowskie i lwowskie, potraktowane są więcej szkicowo, jako że zawarte w rozdziale „Młodość” — a więc stanowiące za ledwie prolog do wielkiego poematu miłości. Powstanie i uczuciowy (bo innego nie było) w nim udział Grottgera jest ujęty w gwałtownym skrócie:

„Gdy zaś z wiosną tego samego pamiętnego roku przybywa do Wiednia kolega Grottgera — z czasem przyjaciół jego najwierniejszy, dozgonny — Marcei Krajewski — wysłany tam, aby za kilka tysięcy guldenów, uzbieranych ze „kładek w kraju, zakupić tajemnie broń dla powstania — Arthur przy pomocy nieocenionego Pappenheima zdobywa po przystępnej cenie 500 doskonałych karabinów, którym tenże sam niezawodny „Papieć” wyrabia w ministerjum pozwolenie, aby zaraz, jako „unbrauchbare alte Gewehre” odeszły eilgutem do Krakowa... Wtedy także udało się Krajewskiemu wynaleźć ów jedyny, ostatni rozstrzygający argument, którym zatrzymał Arthura, rwącego się z nim razem do walki... Syn powstańca, ułana z pod Warszawy, chowany przez ojca „na rycerza”, brat starszy Jarosława Grottgera, który już oto się bije i aż na Sybirze się oprze — we łzach — jak świadczy Krajewski — z uciskiem serca najsroźszym, zrozumiał nareszcie, że gdyby padł, ukochani jego — matka i rodzeństwo — pozostałoby bez chleba... Został tedy i tragicznym walkom o wolność wystawił swą sztuką świadectwo trwałe, najwspanialsze”.

Skrót ten daje obraz szamotania się artysty między dwoma obowiązками: względem Ojczyzny i względem rodziny; nasuwa refleksje, że jednak żaden z naszych Wielkich nie brał czynnego udziału w walkach o wolność.

Począwszy więc od epoki popowstaniowej, jak już zaznaczyłam wyżej, tło dziejowe i obyczajowe

opisywanych zdarzeń jest uwypuklone z ogromnem mistrzostwem: szczególnie obraz duchowy tych ludzi, świeżo jeszcze przytłoczonych klęską, a już rwących się do życia i szczęścia, jest tak jasny, że zda się wychodzić z ram dawności i nabierać nowych rumieńców w naszych oczach.

Jawia się nam przed oczami ludzie, którzy byli światłem epoki, pojawiają się nazwiska głośnie wówczas, a niekiedy i dziś sławne, które niezależnie od dzieł swoich nabierają prawdy człowieczeństwa z krwi i kości.

Jak bezpośrednim jest naprzykład opis pensji pani Wentzowej i jej mieszkania:

„Wielki, słoneczny salon z trzema oknami na plac. Na ścianach freski, barwne sceny z „Pawła i Wirginji”. Wcale nawet nieźle malowidła. Fortepian — pod lustrem modny, orzechowy garnitur w garbatym stylu pierwszego cesarstwa. Serwantka, kilka rodzinnych pudrowanych portretów, parę miniaturowych... Obok sala wykładów. Tu, nad jesionowem biurkiem panny Teresy wisi skrzynka jakby na motyle, oszklona — jej t. zw. „gwodlibet”, w którym tkwią przyszpilone do białego ałtusa, różne okruchy pamiątek: różańczyk Katarzyny Emmerich, róża, zwiedła w złotych włosach cudownej śpiewaczki, szwedki. Jenny Lind, podarowana niegdyś Teofilowi Rewerterze. Obok spłowiła kokarda tegoż Teofila, którą uszyły i przypięły mu siostry, gdy w 1848 w Wiedniu szedł bić się na barykady... Stary balowy karnet, przy nim tasiemka z biało-czarnych paciorków z datami 1831 i 1840, żalсна робота jakiegoś więźnia-polaka... Tuż pozłocisty wachlarzyk po niemieckiej prababce i kruchy krzyżyk z Olszynki... Różności. Wymowny przekrój dwu kultur, dwu ras i czulego serca kobiety.

Dalej jadalnia, gdzie na poręczu sof, pod piecem, wygrzewa się zwykle popielaty kocur, pan Fac”.

W tem właśnie mieszkaniu wychowała się naczelną postać opisywanych dziejów, piękna narzeczona Grottgera, Wanda Monné. Urok jej osobowości panuje nad całem dziełem Pawlikowskiego i każe nam podziwiać tę jakąś wewnętrzną dojrzałość młodzieńczej, szesnastoletniej dziewczyny, która zdołała bez wysiłku dotrzymać kroku dojrzałemu, o skomplikowanej strukturze duchowej, artyście. Miłość ich miała w sobie tak mało światła, że trzeba mieć było niesłychanie dużo odporności, aby to wszystko przetrwać i jeszcze ukochanemu dodawać siły i odwagi. A tymczasem, w chwilach niby najszczęśliwszych, gasła złowróżbna świeca, a cyganka przepowiedziała Wandzie, że jej przyszły mąż jest „daleko, daleko”. I sprawdziło się to najzupełniej. Po rozdziale — „Miłość” — następuje rozdział — „Rozstanie” — który opowiada już tylko o chwilach tęsknoty i o ciągłym zbliżaniu się granic miłości i śmierci. Rozdział — „Powrót” — mówi już o zejściu się tych granic, na których linii stanęła samotna i przytłoczona ciosiem Wanda.

To nie, że wyszła później za Młodnickiego, który był „najlepszy i najszlachetniejszy”; kult Grottgera trwa po dziś dzień w jej rodzinie, czego właśnie dowodem jest niniejsza praca, owoc trudów Maryli Wolskiej, córki Wandy Młodnickiej, i zięcia jej, Pawlikowskiego.

Poszły w świat rysunki Grottgera z „burej książeczki“, ofiarowanej Wandzie, ale najdroższe sercu pamiątki leżą schowane za szkłem serwantki, a w czasie najazdu bolszewickiego nie żadne drogocenności przedewszystkiem zakopywano w ziemi, lecz właśnie tę garść papierów i rysunków, zamkniętych w „metalowej trumience“.

Praca Wolskiej i Pawlikowskiego, oprócz watorów czysto treściowych i przebogatego materiału historyczno-obyczajowego, zawartego w starannie opracowanych i obszernych aneksach, posiada jeszcze pierwszorzędne wartości wydawnicze: piękny papier, wykwinny druk, a przedewszystkiem bogatą kolekcję rycin i reprodukcji z nieznanych, lub mało znanych dzieł Grottgera. Jest to książka ze wszech miar zasługująca na uwagę, i Pawlikowski może być pewnym, iż dotarł do celu, jaki sobie postawił w Prologu, mówiąc, iż chciałby „umniejszyć krzywdę, jaka się dzieje wielkim ludziom, których w umyśle potomnych otacza niemiłosierne, metafizyczne zimno, zbratane z marmurowymi posagami“. Grottger z książki niniejszej spojrzał na nas żywymi oczami, a to jest chyba największa nagroda, jaka może spotkać jej twórcę.

FELIKS JASIEŃSKI

Z Feliksem Jasieńskim zszedł do mogiły jeden z tych ludzi, którymi Kraków chlubił się przed całą Polską — i przed całą Europą nawet. Umiłował piękno od najmłodszych lat — jako student gromadził już dzieła sztuki, kosztem wszelkich wygod i przyjemności życia.

Gdy rodzice jego przybyli do Paryża i dali mu potrzebną kwotę na kupno trzech biletów do Opery, Feliks dla siebie nabył bilet na galerję, aby zaoszczędzone franki obrócić na zakupienie sztuchu. Gdy teraz — pod koniec życia — ślepotą pozbawiła go największej rokoszy: widoku pięknych rzeczy — nie przestał powiększać swych zbiorów — z niecierpliwością oczekiwał zakupionego przedmiotu, dotykał go delikatnie, słuchał uważnie opisu; do ostatnich chwil życia pracował z żoną nad katalogiem swych zbiorów.

Ofiarował je Muzeum Narodowemu w Krakowie — dar to królewski prawdziwie — żadne Muzeum nie może się poszczycić taką ilością japońskich pejzaży, obrazów, rysunków, wyrobów z laki, emalii — zbiory Jasieńskiego były rewelacją sztuki japońskiej dla całej Europy.

Prócz tych zbiorów bezcennych, które imię jego na wieki rozślawia, zostawił Jasieński książkę — jedną z najpiękniejszych w świecie, poświęconą ukochanej sztuce. Dzieło to wyszło w języku francuskim p. t. „*Manggha*“. *Promenades à travers le monde, l'art et*



Feliks Jasieński

les idées“, podpisane pseudonimem *Felix*. Dzieło to krytycy stawiają narówni z pamiątnikiem Goncourtów i utworami Ruskina.

W prasie polskiej nieraz zjawiały się dowcipne, świetne artykuły Jasieńskiego z tym samym egzotycznym podpisem *Manggha* *) — i nikt inaczej u nas nie nazywał Jasieńskiego — kochali go wszyscy, szanowali go wszyscy, ale bali się ciętego pióra *Mangi* — jak ognia! Jasieński nie bał się nikogo — miał odwagę nawet Rafaela nazwać „miernym malarzem, wyniesionym do najwyższego szczybla z powodu tej właśnie mierności“. Gromadząc troskliwie wszystkie piękne rzeczy naszej sztuki — chłostał mierność, chłostał wszystkich „mydlków, episjerów, wzbogaconych parwenjuszów“, udających mecenasów sztuki.

A był ten entuzjasta piękna, sztuki, muzyki, zarazem gorącym, szczerym patryjotą. Pamiętam, gdy na parę lat przed wybuchem wielkiej wojny, Kraków wrzał przygotowaniami, przeczuwając, że trzeba będzie wypowiedzieć się, zrozumieć, że trzeba szukać dróg w labiryncie zagmatwanych politycznych dążeń — Jasieński nie opuszczał ani jednego wieczoru dyskusyjnego, które urządziła wówczas „Czytelnia dla kobiet im. Słowackiego“, jednocząc ludzi różnych poglądów i różnych programów... Raz, rozgniony

*) *Manggha* — to znaczy szkicowane pomysły — tak nazwał umiłowany przez Jasieńskiego mistrz japoński, Hokusai, swoje albumy rysunków.

dyskusją, chwycił mnie za rękę — i jał powtarzać gorączkowo (a jak mi się wówczas zdawało, bez związku istotnego z tematem obrad): „Cóż my — starzy — bezwartościowe, zgniłe jabłko! — ale wewnątrz mamy zdrowe ziarno: młodzież naszą. Wy — kobiety — macie wpływ na tę młodzież — pamiętajcie o młodzieży — pamiętajcie o młodzieży! w niej przyszłość!“.

I dziś przez wszystkie pochwalne słowa o Jasieńskim, przez wszystkie zgromadzone przez niego dla polskiego Muzeum Narodowego skarby, przez grubą warstwę ziemi na świeżej mogile jego — idzie ku mnie ten jego gorący szept do wszystkich kobiet polskich: pamiętajcie o młodzieży — w niej nasza przyszłość!

A zdanie Jasieńskiego o kobiecie? Posłuchajmy, co ten największy znawca i wielbiciel piękna, ten najdowcipniejszy i najzjadliwszy ironista mówi o kobiecie:

„Zrozumieć kobietę — znaczy — kochać ją!“.

„Kobieta jest dziełem sztuki par excellence — nieporównanem, jednym i wielokrotnem, godnem podziwu w cnocie, godnem podziwu w zbrodni“.

„Życie — to miłość, a miłość — to kobieta“.

M. Mossoczoła.

Z WYSTAW

Pod zawołaniem „Ryt“ skupiła się grupa artystów, którzy swój wyraz artystyczny wypowiadają poprzez drzeworyt. Już w ubiegłym roku odbyła się pierwsza wystawa tych, młodych przeważnie, „rytowników“, wystawa, rokująca wielkie nadzieje na bujny rozwój tej sztuki w Polsce. Drzeworyt ma u nas swą piękną tradycję; przede wszystkim, ze względu na sam materiał, w którym jest wykonywany, na tworzywo artystyczne: *drzewo* jest wszakże elementem najbardziej — najtaniej, możnaby rzec — związanym z egzystencją, a więc i z całym nastawieniem psychicznym polaka. Ale i sama technika tworzenia, owo surowe, twarde żłobienie *linij*, wyjście z założenia przede wszystkim rysunkowego — szczególnie odpowiada na-



Roman Gineyko — „Smutek istnienia“.



Krasnodębska: „Chrystus niewiasty pociesza“

szym artystom, którzy zawsze liczyli w swych szeregach raczej utalentowanych rysowników, niż kolorystów. Przebija tu zarówno nasza północna już — niestety — niewielka stosunkowo wrażliwość barwna, jak i specyficznie polski temperament, rubaszny, zawadjacki, impulsywny, któremu owe śmiałe, gwałtowne pociągnięcia bardziej odpowiadają, aniżeli subtelne, rafinowane, częstokroć intelektualizowane — operowanie, ważenie, odmierzanie kolorów.

Tegoroczna wystawa „Rytu“, odbywająca się w Klubie Artystycznym, bezwzględnie wyznacza nowy etap w rozwoju młodego stowarzyszenia. Wyraźnie dadzą się zauważyć dwa kierunki: jeden — podkreślający, akcentujący jeszcze owe przyrodzone niejako inklinacje drzeworytu, wynikające z samej jakości materiału, z technicznych konieczności — pewną surowość i twardość pociągnięcia, ostrość kontrastu czarno — białego, wyraźne, niedwuznaczne zamknięcie formalne. Drugi, który niejako gwałci „prawa naturalne“, starając się właśnie przełamać ową kanciastość, owo ścisłe wyznaczenie granic, i wprowadzić pewną płynność, przelewność tonów światłocienowych, właśnie ową subtelną plamowość, tak obcą w zasadzie pracy dłuta czy rylea.

Prof. Skoczylas, który inspirował swą tak świeżą i bujną twórczością ten pierwszy kierunek — wystawia obecnie przeważnie rzeczy, znane nam już z poprzednich wystaw. Krasnodębska jest bezwzględnie najbardziej interesująca — jej cykl „pasyjny“ — wielobarwne drzeworyty, ilustrujące historię Męki Chrystusowej — łączą w przedziwny sposób pewną stylizowaną sztywność i prymitywność, dobrowolną jakby szorstkość — z poważnie przemyślaną, pełną kultury, kompozycją całości, a przede wszystkim — z głęboką ekspresją. Znamienny to jednak fakt, że w tej tak ważnej dziedzinie artystycznej wytwórczości w Polsce przodują kobiety. (Na zeszłorocznej wystawie podziwialiśmy drzeworyty p. Konarskiej, która w tym roku nie wystawia).

Niezwykłą perfekcją pod względem technicznym odznaczają się również ekspresyjne prace Kulisiewicza. W pełnych rozmachu drzeworytach Wąsowicza wyczuwa się doskonale jego kulturę malarską, która wyraża się w umiejętnym stosowaniu efektów kontrastowych: czarno - białych.

Bartłomiejczyk reprezentuje raczej ów drugi kierunek, o którym wspominaliśmy: nagina technikę drzeworytniczą do kompozycji malarskich, wydobywa efekty światłocieniowe.

* * *

W salonie p. Garlińskiego Roman Gineyko wystawia interesujące, głównie jako pomysły literackie, groteski. Tragiczne spojrzenie na świat usiłuje zamaskować szyderczym uśmieszkiem nad jego ułomnościami i brzydotą. Stylizowane, uproszczone kontury wytyczające pokraczne, odstręczające kształty ludzi i rzeczy, nie mogą jednak przesłonić tego tragizmu i tego cierpienia, które się za nimi kryje... Z punktu widzenia artystycznego rzeczy te są raczej „puszczone”.

Jednocześnie w tym salonie wystawia swoje portrety i martwe natury p. Lublicka - Tereszczenkowa. Studja olejne artystki, sumiennie opracowane, nie wychodzą jednak poza pewien poprawny szablon.

J.

Ale nato trzeba mieć talent i pamiętać, że snobizm jest zawsze grobem dla natur mało odpornych.

Pan Beylin w pierwszym akcie w rozczulający sposób stara się stępić ostrze krytyki. Adwokacki trick: wytrącić brzoń z ręki przeciwnika, zanim ten zdąży jej zażyć. Niepotrzebnie się trudził. Nikt do niego nie będzie miał pretensji o to, że nie jest Norwidem albo Słowackim. Bóg strzegł naszych wieszczów od takiego wypadku.

Natomiast niechęący ulatwił autor zadanie krytyce, wkładając w usta swych bohaterów słowa, które można powtórzyć, jako sąd o sztuce.

— Wszystko, co pan mówi, — powiada w pewnym momencie Ola Leszczyńska, — sprawia wrażenie gotowego ubrania, a nawet używanej konfekcji. A ja noszę tylko suknie, skrojone na moją miarę.

Zobaczmy, czy „Zakład o miłość” jest skrojony na miarę gustu warszawskiej publiczności.

Sztuka jest doskonale wyreżyserowana i świetnie zagrana. Ola Leszczyńska, jako rozdokazywana, temperamentowa, a jednak skromna amerykańska pannica (pozwoliła się pocałować dopiero po formalnych oświadczeniach), była w swoim żywiole. Reszta artystów mocowała się, jak mogła, z szablonem „gotowej konfekcji”.

S. P. O.



TEATR LETNI

„Zakład o miłość” — komedia Gustawa Beylina. Reżyserja Różyckiego.

Talent bez kultury jest barbarzyńcą, ale literacka kultura bez indywidualnych zdobyczy może stworzyć tylko dobrze wychowaną miernotę. Gustaw Beylin jest intelektualistą czytającym i obytym. Zna Wilde'a, Shaw, Caillavet'a i Flers'a, nie omieszczał wspomnieć i o Proust'cie, grał w tenisa w Biarritz i jeździł na walki byków do San - Sebastian, — ale tego wszystkiego zamało, aby zostać polskim Wilde'm, choćby się żywiło szczere w tym kierunku ambicje. Do tego, aby napisać dobrą komedię, brakuje autorowi dwóch rzeczy: inwencji i bezpośredniości obserwacji.

Krańcowe przeciwieństwo „Miłości bez grosza” Kiedrzyńskiego: tam każdy zwrot w akcji jest niespodzianką, a nim nastąpi, ciekawość widza dochodzi do najwyższego napięcia; tu wszystkiego zgóry możemy się domyślić i wcale nas nie zaskakują erotyczne perypetje bogatego próżniaka, żeglującego leniwie po płytkich wodach tanich wrażeniowo, choć kosztownych materialnie rozrywek, od przygody do przygody, a raczej... od kokoty do kokoty. Nic dziwnego, że ten znudzony czterdziestoletni kobieciarz tak łatwo dał się pojąć w sidła małżeńskie. Niestety, ten idealny materiał na męża już w drugim akcie urasta w naszych oczach na doskonałego pantoflarza, więc nie trudno przewidzieć, że w trzecim będzie musiał kapitulować w nierównej walce.

„Comparaison n'est pas raison”, to prawda. Przytoczyliśmy jednak „Miłość bez grosza”, jako dowód, że i polski autor może napisać świetną komedię, nie podpierając się Wilde'm.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

WALNY ZJAZD „RODZINY WOJSKOWEJ”.

Trzeci doroczny, walny zjazd delegatek „Rodziny Wojskowej” odbył się w dniach 20 i 21 kwietnia w wielkiej sali Inspektoratu Sił Zbrojnych. Istniejące od paru zaledwie lat Stowarzyszenie obejmuje już całą Rzeczpospolitą siecią 49 Kół, które na zjeździe reprezentowało 200 delegatek. Prócz nich przybyły przedstawicielki licznych zrzeszeń kobiecych, organizacji wojskowych i społecznych. Na uroczystości otwarcia zjazdu obecna była również p. Prezydentowa Mościcka i p. Marszałkowa Piłsudska.

Po powitaniu przybyłych przez przewodniczącą Głównego Zarządu, p. generałową Hubicką, i obraniu na przewodniczącą zjazdu p. generałowej Berbeckiej, rozpoczęły się obrady.

Pierwszy dzień wypełniły sprawozdania Komisji, Kół prowincjonalnych, oraz referaty o przysposobieniu wojskowemu.

Nazajutrz delegatki zjazdu wysłuchały mszy w kościele garnizonowym i złożyły wieniec na grobie Nieznanego Żołnierza. Po ciekawym odczytaniu dr. Garlickiej: „Opieka społeczna nad matką i dzieckiem do wieku przedszkola”, rozpoczęto obrady nad wnioskami, przygotowanymi przez komisje. Już przed trzema laty „Rodzina Wojskowa” rozpoczęła — na małą początkowo skalę — pracę opieki wakacyjnej nad dziećmi członkiń. Pierwszego roku zapewniono pobyt na letnisku, za minimalną opłatą, 50 dzieciom. Obecnie akcja ta rozwinęła się tak, że rozpoczęto przygotowania do budowy własnego domu uzdrowskiego w Rabce.

Szeroko zakreślone plany prac stowarzyszenia obejmują również przysposobienie wojskowe członkiń do obrony kraju i prace kulturalno-oświatowe wśród żołnierzy.

Po ukończeniu obrad, dokonano wyborów do Zarządu Naczelnego, oraz nadano tytuł zasłużonych członkiń stowarzyszenia, paniom: Konarzewskiej i Berbeckiej. Przewodniczącą nowo wybranego Zarządu Naczelnego została pani Jadwiga Fabrycowa.

N. J.

NOWY ZAWÓD DLA KOBIET.

W celu należytego przygotowania akcji turystycznej dla cudzoziemców, zwiedzających Polskę, Polskie Towarzystwo Krajoznawcze (ul. Karowa 31) urządza kurs dla osób inteligentnych, które chciałyby zająć się oprowadzaniem zagranicznych gości.

Rola przewodnika turystycznego może być wykonywana przez osoby, władające obcemi językami, znające w dostatecznym stopniu historję i sztukę, zdrowe — gdyż praca ta wymaga dużej ruchliwości i wytrwałości — nie mówiąc już o obyciu i dobrych formach towarzyskich.

Niewątpliwie dla kobiet inteligentnych byłoby to odpowiednie pole zarobkowe.

j. k.

SZTUKA AUTORKI POLSKIEJ W TEATRZE BERLIŃSKIM.

P. Eleonora Kalkowska napisała sztukę sceniczną, osnutą na tle głośnej i tragicznej sprawy stracenia robotnika polskiego, Jakubowskiego, skazanego niewinnie na śmierć przez sądy niemieckie.

Sztuka polskiej autorki, p. t. „Józef“, grana jest obecnie w berlińskim teatrze robotniczym i wywołuje nadzwyczajne wrażenie wśród tłumów publiczności.

j. k.

ZJAZD KLUBÓW SPORTOWYCH „RODZINY WOJSKOWEJ“.

Miłośniczki sportu w „Rodzinie Wojskowej“ rozszerzyły swą akcję, zakładając samoistne kluby sportowe w dwudziestu kilku już miejscowościach.

Kluby sportowe „Rodziny Wojskowej“ uprawiają przede wszystkim jazdę konną, łucznicstwo, strzelectwo i gry ruchowe.

Zjazd walny delegatek klubów odbył się w Warszawie w dniu 21 kwietnia. Tematami obrad były zagadnienia organizacji pracy wewnętrznej klubów i referat p. Prażmowskiej o „Sporcie kobiecym zagranicą“.

Przed zjazdem w niedzielę rozegrały drużyny łódzka i warszawska mecz piłki-siatkówki w Ośrodku Wychowania Fizycznego.

j. k.

POWIĘKSZENIE KADR POLICJI KOBIECEJ.

Prośby wielu miast o przysłanie im policjantek, które w Warszawie i Łodzi wykazały się dzielną pracą, zwłaszcza w zwalczaniu handlarzy kobiet i stręczycieli do nierządu — odniosły skutek i komenda główna policji otworzy w najbliższych tygodniach nowy kurs dla policjantek w Warszawie.

Kurs obliczony jest na 30 kandydatek, które już obecnie się zgłaszają. Powinny to być osoby zdrowe, silne, w wieku od 21—55 lat; powinny mieć wykształcenie w zakresie 6 klas szkoły średniej i zamiłowanie do pracy społecznej.

Po wyszkoleniu, policjantki udadzą się na służbę do Lwowa, Łodzi, Lublina, Wilna i Gdyni. Byłoby więc dobrze, by z tych miast zgłosiły się odpowiednie kandydatki. (Komenda VI brygady urzędu śledczego w Warszawie).

Gdy będzie więcej policjantek, będzie można z czasem pomyśleć o tem, by objęły one nie tylko akcję sanitarno-obywatelską, lecz i opiekę nad dziećmi na ulicy, w sądach i t. p.

j. k.

DOM DLA MATKI I DZIECKA.

Prerażające opuszczenie matek z niemowlętami i wynikające z tej niedoli zbrodnie podrzucania lub zabijania dzieci — zwróciły w ostatnich latach uwagę społeczeństwa naszego. Postanowiono energicznie przeciwdziałać. W sprawie tej bardzo wiele piszą dzienniki, mówią społecznicy — przedewszystkiem niektóre działaczki w stowarzyszeniach kobiecych wzięły sobie za cel uzdrowienie tych strasznych stosunków.

Do walki z niedolą matek i dzieci stanęły gorliwie nasze lekarki, które opracowały projekty urządzenia „Domów dla matki i dziecka“. W domach tych opuszczone z jakichkolwiek bądź przyczyn matki znajdują opiekę lekarską, materialną i mo-

ralną, co pozwoli im podjąć walkę o byt dla siebie i dziecka.

Ale domy takie trzeba zbudować...

Nie obawiając się „ciężkich czasów“, Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet w Warszawie przystąpił do zorganizowania instytucji, tak nadzwyczajnie potrzebnej w Warszawie, gdzie setki matek zjeżdża z prowincji, by znaleźć środki do życia, lub by... pozbyć się niemowlęcia, z którym nie wiedzą, jak dać sobie radę.

W dzielnicy Ochota Związek warszawski uzyskał od ministerstwa robót publicznych stary budynek, w którym po przeprowadzeniu remontu będzie można dać schronienie i stworzyć warsztaty pracy dla 60 kobiet z niemowlętami.

Do akcji, która pochłonie kilkadziesiąt tysięcy złotych na urządzenie „Domu“, przewodnicząca sekcji opieki nad matką i dzieckiem w Związku Pracy Obywatelskiej, p. Helena Maryszowa, zabiera się z nadzieją, iż znajdzie poparcie materialne i moralne społeczeństwa — ogółu kobiet w pierwszym rzędzie.

j. k.

ODEZWA

Otrzymałm odezwę Tow. Kolonij Letnich im. Hipolita Wawelberga, z której podajemy ważniejsze ustępy.

„Tow. Kolonij Letnich im. Hipolita Wawelberga dla dzieci polskich bez różnicy wyznania“ przystępuje do wydania *Jednodniówki*, składającej się z opowiadań dzieci na temat przeżyć wakacyjnych — np: „Moje wspomnienia z wakacyj“, „Najpiękniejszy dzień z ubiegłych wakacyj“, „Najweselszy dzień z ubiegłych wakacyj“, „Moje koledzy ze wsi“, „Jak bawiliśmy się na Kolonjach Letnich“, „Moje wspomnienia z Kolonij Letnich“ (dla dzieci, które przebywały na Kolonjach Letnich).

Warunki konkursu są następujące:

- 1) W konkursie może uczestniczyć każde dziecko w wieku od 7 do 15 lat,
- 2) opowiadanie musi być napisane samodzielnie, bez pomocy starszych,
- 3) należy pisać czysto, starannie i czytelnie (można dodać ilustrację),
- 4) objętość opowiadania (rękopis) nie może przekraczać 2 stron zeszytu,
- 5) na pierwszej stronie ponad tytułem należy wymienić imię, nazwisko, adres, względnie Nr. szkoły i klasę, do której uczestnik-czka uczęszcza;

6) zgłoszone prace muszą być nadesłane najpóźniej do dnia 15 maja r. b. pod adresem Komisji Dochodowej Tow. Kolonij Letnich im. H. Wawelberga — Chmielna 36.

Nadesłane prace będą rozpatrywane przez specjalny Komitet Konkursowy, w którego skład wchodzi przedstawiciele świata pedagogicznego i literackiego. Prace, wyróżnione przez Komitet Konkursowy, będą umieszczone w *Jednodniówce*, która w czerwcu r. b. po minimalnej cenie zostanie rozpowszechniona wśród młodzieży.

Jako dwie pierwsze nagrody za najlepszą pracę — Tow. Kolonij Letnich im. Hipolita Wawelberga dla dzieci polskich bez różnicy wyznania ofiaruje jeden bezpłatny pobyt na Kolonjach leczniczych w Ciechocinku i jeden — na Kolonjach odpooczynkowych w Lesznie.

Druga, trzecia i czwarta nagroda — książki.

Wszelkich informacji udziela chętnie Biuro Komisji Dochodowej Towarzystwa: Chmielna 36, m. 3, tel. 175-50, czynne od g. 11-ej do 2-ej pop.

ZABURZENIA W TRAWIENIU PRZEWLEKŁE, UPORCZYWE ZAPARCIA STOLCA, ORAZ NADMIERNA OTYŁOŚĆ, BEZ SPECJALNEJ DIETY LUB ZMIANY TRYBU ŻYCIA, USUWAJĄ „SZWAJCARSKIE GORZKIE ZIOŁA“ (Z KOGUTKIEM). SPRZEDAJĄ APTEKI I SKŁADY APTECZNE. — GŁÓWNY SKŁAD: APTEKA A. GAJECKIEGO, W WARSZAWIE, UL. FRETA 16.

II.

CEREMONJAŁ DWORSKI
W EUROPIE ZACHODNIEJ

Za prototyp wszelkiego ceremonjału dworskiego uważany jest ceremonjał chiński. I dziś jeszcze przesadną grzeczność nazywamy robieniem chińskich ceremonij. Wyrażenie to stało się więc niejako przysłowiem.

Przeniesiony z dalekiego Wschodu i zmodyfikowany odpowiednio, przyjął się on w Hiszpanji za czasów Filipa II w formie tak bardzo skomplikowanych przepisów, że umęczone nim damy dworu, szczególnie francuzki, żywe z natury i przywykłe do swobodniejszego zachowania się, znosić nie mogły jego krępujących wymagań i opuszczały potajemnie dwór hiszpański, który stawał się dla nich prawdziwym ogrodem udręczeń.

Ceremonjał dworu hiszpańskiego służył prawdopodobnie, jako wzór, Ludwikowi XIV przy obmyślanu sposobów uświetnienia uroczystości wersalskich i otoczenia swojej osoby majestatem, licującym z wysokiem pojęciem, jakie sam miał o sobie i innym wpoić potrafił.

Rambaud w swojej „Historji cywilizacji francuskiej” przytacza szczegóły, dotyczące wielce skomplikowanych przepisów, towarzyszących wszelkim czynnościom tego absolutnego europejskiego władcy.

Obsługa króla, według słów tego historyka, nie była zwykłą obsługą — był to kult prawdziwy.

Rannemu wstawaniu Ludwika XIV, zarówno jak i jego udawaniu się na spoczynek, towarzyszył prawie religijny obrządek.

Kiedy król wstawał, wprowadzano do jego sypialni dworzan, nie wszystkich naraz, ale w pięciu następujących po sobie serjach, przyczem każdy zajmował tu swoje ściśle oznaczone miejsce. Najpierw odbywało się wejście rodzinne (*l'entrée familière*) w którym uczestniczyli książęta krwi. Drugie — to „wielkie wejście” (*la grande entrée*), które obejmowało najwyżej utytułowanych dostojników państwa. Trzecie wejście — to wejście szlachty, specjalnie faworyzowanej (*l'entrée des brevets*); czwarte — przeznaczone dla całej masy ludzi, jak również dla pułkowników i kapitanów gwardji (*l'entrée de la chambre*); nareszcie piąte wejście, sprowadzające pozostałych dworzan.

Po „wielkiem wejściu” król wychodzi z łóżka; nakładają mu pantofle i podają szlafrok. Po wejściu szlachty przynoszą mu „chaise percée”. Po czwartym wejściu myje król ręce i podają mu koszulę, którą dopiero po piątym — nakłada. Zaszczytu podania mu tej części garderoby dostępują synowie lub wnuki króla. Gdy tych нема, zastępują ich książęta krwi, a w braku i tych także — wielki szambelan, lub najlepiej urodzony arystokrata. Te same ceremonje to-

warzyszą wdziwaniu innych części garderoby. Wreszcie ceremonja wstawania kończy się modlitwą, odmawianą przez jałmużnika. Teraz król udać się może na naradę (*à son conseil*). Jeżeli dobrze się czuje i zażąda filizanki buljonu, lub gdy jest słaby i przyjąć musi lekarstwo — to i te czynności odbywają się w asystencji licznie zebranych i z wielką ostentacją.

Najprostsze czynności monarchy mają wielką doniosłość dla otoczenia. Jeden z wzorowych dworzan Ludwika XIV życie całe poświęcił na spisanie pamiętnika, obejmującego 16 tomów, gdzie wynotował godziną za godziną, co król robił lub mówił, oraz co się robiło i mówiło około niego.

Ci, co mają bezpośrednią styczność z królem, co pełnią służbę przy nim (*qui sont ses domestiques*), a więc naczelny golarz i malarz — mają całą hierarchję funkcjonariuszy do swojej dyspozycji. Naczelny lekarz Ludwika XIV prowadzi „Dziennik zdrowia monarchy”, a więc dziennik jego apetytu, trawienia, drobnych niedomagań i przepisanych przez siebie upustów krwi. Wszystko, co dotyczy monarchy, jest święte. Przechodząc przez apartament prywatny króla i mijając jego łóżko, kobiety sfer najwyższych, a przedewszystkiem księżniczki krwi, obowiązane są złożyć ukłon, jak przed ołtarzem, nawet wtedy, gdy króla нема w pokoju. Przy wszystkich swoich czynnościach — zarówno w sypialni, jak i w sali jadalnej, gdzie jedynie królowej wolno jest zająć miejsce obok niego — król jest ciągle „en spectacle” i pragnie być przedmiotem tej pobożnej ciekawości. Zawsze i wszędzie gra pewną rolę, urzęduje lub celebkuje.

Nieźrównany jest majestat jego zachowania się, gdy schodzi miarowym krokiem ze schodów Wersalu, wsparty na długiej lasce, a za nim dwór cały. Majestat ten nie opuszcza go nawet przy zabawie. Według słów panny de Scudéry, gra on w bilard z miną władcy całego świata. Najwięksi literaci, genjalni ludzie współcześni — jak Corneille, Racine, Molière — obowiązani są nieść daninę swego talentu dla uświetnienia uroczystości dworskich. Ludwik XIV nakłada na szlachtę obowiązek stałego przebywania na jego dworze. Szlachta ta rujnuje się przez zgubne próżniactwo, przez zabawy, których przepych i liczba przekraczają granice rozsądku. Zadłuża swe folwarki, zastawia młyny i pastwiska i w ten sposób bardziej jeszcze zdaje się na łaskę króla, który płaci długim panów, daje im z własnej szkatuły pieniądze na grę w karty, stwarza dobrze płatne synekury, wyznacza wysokie pensje, tworzy regimenty albo biskupstwa dla synów, a opactwa dla córek swych arystokratycznych dworzan. W ten sposób stają się oni już nie współbiedniakami u stołu królewskiego, ale pasożytami państwa.

Ludwik XIV potęgą swą budził zazdrość, imponował monarchom swego czasu. Był on wzorem, który starano się naśladować wszędzie, dokąd promienie tego króla - słońca (*le roi - soleil*) dosięgnąć mogły.

Nie też dziwnego, że wpływ Wersalu rozciągnął się na inne dwory królewskie i stworzył nietylko przewrót w ich ceremoniale, ale przyczynił się wielce do rozbudzenia w panujących chęci uświetnienia swej epoki przez wiekopomne dzieła architektury, literatury i sztuki.

Wpływowi temu uległy w pierwszej linii Niemcy i Wiochy. Częste stosunki polskie ze stolicą apostolską, oraz wyjazdy możnych polaków do uniwersyteckich miast włoskich, przeniosły wiele obyczajów i ogłady towarzyskiej tego kraju do naszej ojczyzny. „Dworzanin“ Górnickiego wzorowany jest na dziele pisarza włoskiego Castiglione, poświęconem właśnie pełnemu taktu i ogłady życiu dworskiemu.

U nas, gdzie król był „pierwszym pomiędzy równymi“ (primus inter pares), gdzie władzy absolutnej nie było, a wszyscy wobec prawa równymi się czuli — etykiety dworskiej nie cechowała czołobitność, ale grzeczność, płynąca jakby ze szczerego obyczaju, do brego wychowania i wrodzonej, serdecznej uprzejmości

L. Gerlachowa.

WYSTAWA W SEMINARJUM NAUCZYCIELEK GOSPODARSTWA DOMOWEGO

Gdybyśmy chciały odrazu otworzyć kilkadziesiąt a nawet kilkanaście kursów gospodarstwa domowego, lub chociaż w najskromniejszych rozmiarach — kursów gotowania, gdybyśmy znalazły na to odpowiednie fundusze, odpowiednie lokale (co jest, jak wiemy, rzeczą niewykonalną) — zamiary nasze rozbiłyby się o — brak wykwalifikowanych nauczycielek do prowadzenia tych kursów. „Jakto?“ zapytają mnie czytelniczki — „czy już zabrakło w Polsce dobrych gospodyń?!“ — Otóż dobrych gospodyń,



Pieczenie chleba.



Każda uczennica ma swój stolik i obok stolika kuchnię gazową

szczególniej w sensie przedwojennym dobrego prowadzenia gospodarstwa — jest bardzo wiele; ale zupełnie co innego jest umieć dobrze prowadzić dom własny, umieć elegancko zarządzić przyjęcie dla gości, znać setki wybornych przepisów i nawet umieć wykonać większość tych przepisów własnoręcznie, — a zupełnie co innego umieć nauczyć tego wszystkiego kolejno i metodycznie.

Mamy dotąd w Polsce dwa seminarja nauczycielek gospodarstwa domowego: jedno w Snopkowie pod Lwowem, drugie w Warszawie. Oba te zakłady, doskonale wyposażone we wszelkie pomoce naukowe, we wszelkie wynalazki, normalizujące a przez to ułatwiające pracę, w personel nauczycielski o wysokim poziomie wykształcenia fachowego — co roku wypuszczają w świat kilkadziesiąt młodych kobiet, uzbrojonych w gruntowną wiedzę gospodarczą. Każda z nich w chwili ukończenia kursu jest zupełnie pewna, że znajdzie posadę, wiele z nich jest kilka miesięcy przed ukończeniem zaangażowanych i posada na nie czeka aż do chwili zdania ostatecznych egzaminów.

Takie nauczycielki, w ciągu lat paru pracujące w warunkach najbardziej odpowiednich do wykonywania prac gospodarczych, są, niestety, trudne do zdobycia. Zasilają one przede wszystkim kadry nauczycielskie szkół zawodowych i powszechnych, bo nierówno są traktowane młode obywatelki wolnej i niepodległej Ojczyzny naszej! Szkoły powszechne są zaopatrzone w specjalne sale do nauki prania i szycia, w specjalne kuchnie do nauki gotowania, no i mają nauczycielki wykwalifikowane, które uczą dziewczynki z klasy rzemieślniczej i robotniczej racjonalnego a porządnego prowadzenia gospodarstwa domowego.

Dzieci inteligencji są tej nauki pozbawione. W szkołach średnich niema miejsca na naukę gospodarstwa: niema miejsca dosłownie — gdyż brak jest sal i kuchni do zajęć; niema — przenośnie, gdyż nie



Tablice prawidłowego odżywiania i wyroby uczennic

włączono tych zajęć do programu szkolnego. O jakimkolwiek uszczupleniu programów naukowych na korzyść nabycia wiadomości praktycznych władze szkolne słyszeć nie chcą. Pozostaje inicjatywa prywatna, która, jak już powiedziałam na początku, rozbija się o brak odpowiednich lokali i wykwalifikowanych wykładowczyń. Co do tego ostatniego braku, to, miejmy nadzieję, że z każdym rokiem da się on mniej odczuwać, w miarę tego, jak potrzeby szkół zawodowych i powszechnych zostaną nasycone i prywatna nauczycielka gospodarstwa domowego przestanie być jedynie ciekawą rzadkością.

W lokalu seminarjum szczególnie naszą uwagę zwraca sala do laboratoryjnej nauki gotowania. Szeregi stolików do przyrządzania potraw, a obok nich kuchenki gazowe; przy każdym i każdej z nich uczennica może wykonywać pokazywane przez nauczycielkę czynności, naśladując dokładnie każdy jej ruch, co oszczędza wielu omyłek i niepowodzeń. W pralni, oprócz zwykłych narzędzi, jest i mechaniczna pralka „Marysia”, i ręczny magiel, niewymagający dużego wysiłku, i znakomita deska do prasowania, której wysokość, dzięki pomysłowemu przytwierdzeniu do ściany, daje się regulować stosownie do wzrostu osoby prasującej.

Bogata kolekcja przyrządów do sprzątania, okurzania, mycia okien bez narażania zdrowia i życia osoby pracującej — uczy wychowanki zakładów praktycznego stosowania tych narzędzi. — Pytam siebie tylko, jak te panie dadzą sobie radę w szkole powszechnej gdzieś na głębokiej prowincji, gdzie zamast wszystkich tych doskonałych narzędzi znajdują rozeschniętą balję i miotłę brzoźową lub sosnowe pomiotło?

Wystawa właściwa składa się z prac uczennic, przeznaczonych na Powszechną Wystawę Krajową w Poznaniu, i dzieli się na dział teoretyczny i praktyczny. W sporej sali ściany całe są pokryte wykreśami i tablicami. Większość tych tablic jest poświę-

cona prawidłowemu odżywianiu. Pomiędzy nimi jest jedna, zasługująca na jaknajszersze rozpowszechnienie. Jest to tablica kaloryczna, dająca możliwość łatwego, nieomal mechanicznego, obliczania wartości kalorycznych poszczególnych produktów spożywczych w danych ich ilościach. Inne tablice wykazują zawartość białka, tłuszczów, węglowodanów w tych produktach. Inne znów podają ilości witamin w nich zawartych.

Ładne albumy z fotografiami zakładu, jego sal i urządzeń, oraz uczennice przy zajęciach praktycznych — zaznajamiają poglądowo ze sposobami nauczania. Prace uczennic z dziedziny nie tylko gospodarczej, lecz z historii, literatury, nauk społecznych — dowodzą dbałości o ogólne wykształcenie przyszłych nauczycielek. Nakoniec szeregi słoików i kompotjer, napemionych konfiturami, galaretami, „jamami”, jarzynami i owocami konserwowanymi, wskazują, że zajęcia praktyczne stoją na równie wysokim poziomie, jak i nauczanie teoretyczne.

W bufecie publiczność może po bardzo przystępnej cenie nie tylko posilić się na miejscu, lecz i kupić i zabrać do domu różne placki, keksy, mazurki, a nawet apetyczne chleby domowe. Wszystko to jest rozebrane momentalnie — nie trzeba chyba o tem upewniać.

Pani Elżbieta.

CO RADZIĆ?

Pod takim tytułem wyczytałem w nr. 16 „Bluszczu” skargę na ciężkie losy pani „Mar. Mil”, nie umiejącej dać sobie rady z kłopotliwem — dla każdego, zresztą — życiem i szukającej moralnej pomocy u — Pań.

Z tej to właśnie racji, jako mężczyzna, do dania rady niepowołany, natrętnie jednak wścibiam swoje trzy grosze w nadziei, że przecież staną się one kapitałem zakładowym nie tylko dla przemożenia chwilowych trudności pani „Mar. Mil.”, ale i Jej trwałego dobrobytu, a nawet zamożności!

Po radę moją sięgam do... łóżka francuskiego, owego cudownego „champignons lit”, na którym śpią dziś we Francji każdy, kto i „przez sen” pragnie zarabiać i nie tracić 7 do 8 godzin na dobę na nieprodukcyjną, a konieczną bezprzytomność w objęciach Morfeusza. Codzienny sen — toć przecie przez całe jędrne i do pracy zdolne życie strata około 150 tysięcy godzin! Jakiż więc olbrzymi tkwi w tem kapitał pojedynczego człowieka, nie mówiąc już o stratach, skutkiem snu, całej ludzkości!

Ot, paradoks, fantazja, — nieprawdaż?

A przecie inaczej pojęli to francuzi!...

Chodziło tylko o wynalezienie odpowiedniego sposobu do zużytkowania snu bez straty na zdrowiu.

No, i tym genjuszom sprytu i zapobiegliwości to się udało: ze snu wyciągnęli korzyść, materjalizującą się automatycznie. Konstrukcja pomysłu była bardzo prosta. Oto, sam sen, jako fizyczna nieruchomość ciała, nie da nic, to pewne! Ale dużo dać może ciepło, jakie z ciała śpiącego człowieka uchodzi. Olbrzymia stosunkowo ilość kaloryj, jaką tracimy nawet w czasie 8 godzinowego snu, jest wartością zbyt poważną, by przejść nad nią do porządku dziennego.

Pierwsi zrozumieli to francuscy hodowcy pieczarek, wymagających, jak wiadomo, do równomiernej, a przez to intensywniej produkcji owoców — jednostajnej ciepłoty dniem i nocą. Noce jednak zawsze, nawet w lecie, nawet w pokoju, mają temperaturę o kilka stopni niższą, niż dzień; a to wyprowadza już czule pieczarki z równowagi. Trudno zaś skonstruować taki piec, któryby ciepłotę w danym miejscu samoczynnie podnosił i regulował bez współudziału człowieka i jego kontroli.

Wpadli więc francuzi na pomysł wykorzystania do tego celu ciepła, traconego w czasie snu przez ludzki organizm. Pomysł naprawdę genialny, gdyż ciało śpiącego człowieka utracą kalorje najzupełniej równomiernie, działa więc termostatycznie.

Zatem francuz idzie spać wcześniej, skoro tylko nadchodząca noc zaczyna ochładzać izbę. A śpi na dużej, drewnianej skrzyni w wygodnie i obficie ułożonej pościeli. Wewnątrz zaś skrzyni na dwóch półkach, w pożywce z przemacerowanego końskiego nawozu — od nowa wciąż wzrastają pieczarki. Sen taki sprawia cud! Skoro dzień, hodowca, zerwawszy się z pościeli, otwiera zasuwę skrzyni, wydobywając z jej wnętrza około funta bielutkich, dorodnych pieczarek, zyskując w ten sposób, według dzisiejszej ceny warszawskiej, co rana 10 złotych!

Jakąż ja inną, lepszą radę Pani dać mogę? A któryż przemysł intelektualny, czy fizyczny, przyniesie dziś tyle, i to „przez sen“?! Każdy naukowy kurs musi się skończyć; a co potem? Tak przecie pyta Pani sama! A ileż z kursem takim można, ile pracy!

Tymczasem kobieta, nie mieszkająca na wsi, nie mająca nawet ogródka w mieście, może go mieć... w łóżku!

— Ach, wiem, o co Pani Szanownej chodzi! Wiem, dlaczego usta Jej z gorzkim grymasem zawodu szepcą „fi done“! Oto o nawóz chodzi, i jego zapachy, i to gdzie, w sypialnym pokoju! Brrrrrr! jak można, jak można!...

A jednak francuzi się nie brzydzą; ci arcymistrze w hodowaniu najpiękniejszych kwiatów, wytwórcy niezrównanego szampana, „camemberta“, najwyższymi perfum i najpiękniejszych pończoszek! W „champignons lit“ chętnie wtula francuska kobieta swe nóżki, pachnące wodą kolońską, którą przedewszystkiem kupuje za pieniądze „wyhodowane“ przez sen!

Lecz w czemże tajemnica tak łatwego, a dziwnego zestawienia piękna z wstrętną brzydota?

Oto w fakcie, że dobrze przemacerowany nawóz, jak i wstrętne gnijące liście leśne, z ekskrementami ssaków, ptactwa, robaków, z niezliczonymi trupami owadów i z niemniej szpetnymi przyczynkami kultury człowieczej — zmienia się w próchnicę, którą przecie tak chętnie stawiamy w mieszkaniach naszych w doniczkach z kwiatami! I zbytku wilgoci i chorób z niej obawiać się tu nie można, bo wzorowa hodowla pieczarek wymaga wilgoci o wiele mniej, niż „najsuchsza“ roślina wazonowa! Pieczarki podlewa się co najwyżej raz na tydzień i to przez delikatne rozpylanie wody w powietrzu nad hodowlą, a nie przez jej polewanie.

....Lecz, mimo wszystko, trudno się na to zdecydować, prawda?

Rozumiem Panią najzupełniej i dlatego radzę rozpocząć hodowlę pieczarek w skrzynkach pokojowych.

Zwykła skrzynia drewniana, 1 metr. długa, 50 cm. szeroka i 55 cm. wysoka; nałożyć w nią na 45 cm. wysoko dobrze udeptanego, słomianego, ciemnobrunatnego nawozu z pod koni; przykryć wilgotnym workiem i postawić skrzynię w ciepłym, niezbyt suchym, zacienionym miejscu. Po trzech dniach włożyć w środek nawozu termometr i zmierzyć temperaturę; czynić tak co dnia, aż termometr wskaże 21°C. Wówczas „zapikować“ grzybnię i przykryć nawóz szczelną, słomianą, dobrze dopasowaną matą (tak, by słoma wszędzie przylegała do nawozu). Po 14 dniach zdjąć matę i zajrzeć do nawozu, czy są w nim białe niteczki; jeśli są, pokryć cały nawóz 3 centymetrową warstwą ziemi ogrodowej, zmieszanej w 1/3 z piaskiem i w 1/3 z drobnym gruzem wapiennym; ziemi nie ubijać, tylko wygładzić i podlać letnią wodą z domieszką szczypty zwykłej saletry. Wówczas można już skrzynię (niczem już nie okrytą) wstawić do pokoju, na światło, byle nie na słońce. W 14 dni od chwili pokrycia nawozu ziemią rozpoczyna się owocowanie pieczarek.

Trwa ono w takiej skrzyni 3 do 4 miesięcy, przynosząc dziennie (zbiór co 2-gi lub 3-ci dzień) przeciętnie po 50 gramów pieczarek. Hodowla żadnych innych już zabiegów ani prac nie wymaga; jedynie należy rozpylić nad nią nieco letniej wody z saletrą, gdy ziemia już kompletnie sucha.

Kalkulacja prosta: skrzynia	1 zł.
nawóz	1 „
grzybnia 1/2 kg.	2 „
mata słomiana	50 gr.
saletra (na zapas)	„ „
razem wydatki	5 zł. —

Produkcja 50 gr. dziennie przez 100 dni = 5 kg pieczarek po cenie 20 zł. za 1 kg.	100 zł.
---	---------

zatem zostaje na czysto	95 „
-----------------------------------	------

A ile skrzyń takich można postawić w pokoju, w korytarzu, w kuchni, w spiżarni, w piwnicy i wszędzie, byle nie na strychu, gdzie powietrze zbyt suche?!

I pomyśleć, że przy takim przedsiębiorstwie, raz założonem, nie potrzeba najmniejszego wysiłku rąk ni mózgu, nie potrzeba troski ni czasu! Istny automat, pokojowa fabryka pieniędzy, funkcjonująca sprawnie nawet w czasie snu właściciela!

Otóż takie przedsiębiorstwo, taką pomoc mogą Pani doradzić i najgoręcej polecić! Prawda, że na produkcję 2 miesiące trzeba poczekać; ale robić to, a innych spraw tymczasem nie zaniedbywać. Wkład pracy i kosztów znikomy, ale oprocentowanie lichwiarskie i długie, a bez wysiłku już żadnego i troski!

Pamiętać tylko proszę, że nawóz musi być koniecznie od koni, karmionych całym owsem, nie sru-tem; i musi być czystutki, t. j. bez śmieci, trocin, wiórów, patyków, szmat, papierów, obierzyn i resztek kuchennych. Grzybnię („le blanc sec des champignons“) zamawiać tylko w Paryżu u firmy „Etablissement C. Tellier“, 84, Rue de Crimée, Paris XIXe (zakład d-ra Pasteur'a) — z wyraźnem powołaniem się na mnie. Najmniej zamówić można 5 kg. w pakiecie pocztowym (1 coli), wysyłając pieniądze (dziś można już przekazem pocztowym) naprzód i podając dokładny, a bardzo wyraźnie wypisany adres odbiorcy. (francuzi szpetnie przekręcają słowa polskie!). Cena 1 kg. grzybni wraz z portem, opakowaniem i cłem wynosi około 7 złotych. W kilka dni po wysłaniu pieniędzy przychodzi potwierdzenie zamówienia, zaś grzybnia — w 2 do 3-ch tygodni; o ileby się przesyłka opóźniała, należy molestować najbliższy nasz urząd celny, gdzie czasem zbyt długo namyślają się, jak grzybnię zdeklarować i odciec, przezywając ją to bakterjami nawozowymi, to ziemią farbiarską, lub nawet... cebulkami kwiatowymi!

Lecz z tego proszę nie robić sobie nic, zgoła nie! ...i tylko pieczarki sadzić, i sadzić, i sadzić, aż zapieczarczy się każdy dom polski, dając wyraz mocy przetrwania zła i — samowystarczalności!

Feliks Teodorowicz.



ODŻYWIANIE A ZDROWIE

II.

Dieta w chorobach nerkowych.

W ostatnim artykule z cyklu „Odżywianie a zdrowie“ — zwróciłam uwagę Szanownych Czytelników, że w diecie dla osób, skłonnych do chorób nerkowych, unikać należy pokarmów, które dają organizmowi trudno wydzielające się substancje. Unikać należy potraw z mięsa i ryb. Pokarmów słonych, pieprznych i z ostremi przyprawami nie należy jadać zupełnie.

Ponieważ istnieje kilka rodzajów zapalenia nerek, dieta dla chorego powinna być wskazana przez lekarza. Musi on określić ilość białka, niekiedy także ilość soli i płynów.

Gdy bardzo mało moczu przechodzi (następuje t. zw. bezmocz), i zdarza się często obrzęk (ozedma), polegający na zatrzymaniu płynów w tkankach ustroju, — wyłączamy sól z pokarmów zupełnie. Sól, bowiem, jako ciało hygroskopijne, wchłania wodę i utrudnia jej wydzielanie się.

Początkowo ilość płynów ogranicza się od 400—500 cm.³ na dzień, t. j. 1½ — 2 szklanek. Daje się dobrze osłodzone soki owocowe.

Zaleca się sok z wina, świeże winogrona, pomarańcze; stopniowo dodaje się coraz większe porcje mleka (aż do 1½ litra — t. j. 6 szklanek dziennie), później wprowadza się do diety warzywa i potrawy z kasz, lub mączne.

Przy ostrem zapaleniu nerek wogóle mleko jest bardzo wskazane. Mleko zbierane i zupy z mleka zbieranego mają specjalną wartość. O ile przy takiej diecie jest obstrukcja, świadczy to o dobrym zużytkowaniu mleka, a uregulować żołądek można przez dawanie na czczo kompotu ze śliwek, jabłek pieczonych lub stosowanie enem.

O ile nie zachodzi potrzeba ścisłego ograniczenia diety, lub gdy choremu nie służy mleko, można zastosować dietę następującą, wskazaną również w wypadkach rekonwalescencji:

Śniadanie: kasza krakowska, herkulo - owsiana, gryczana lub jaglana na mleku. Dla odmiany tapioka, lub ryż na mleku.

Obiad: Zupy w małej ilości — najodpowiedniejsze: krupnik (na smaku jarzynowym z mlekiem), zupy jarzynowe ze śmietaną, zupy mleczne. Na drugie danie: zapiekane kasze, makarony, jarzyny zielone, potrawy z kartofli. Na deser: owocowe i słodkie leguminy.

Kolacja: Zsiadłe mleko z kartoflami. Herbata ze śmietanką. Słodczyce domowej roboty, np. karmelki śmietankowe, ciastka z owocowymi przetworami.

Ilość warzyw, owoców i cukru w przeciętnej diecie dla osób chorych na nerki, lub rekonwalescentów,

powinna być większa od ilości tych pokarmów w diecie normalnego człowieka.

Dostarczamy w ten sposób paliwo w formie najłatwiejszej do wchłonięcia, a podwyższona ilość cukru zaoszczędza rozkład białka w tkankach organizmu (t. zwany endogeniczny rozkład białka).

Szereg przepisów na obiady i kolacje dla chorych na nerki przy niezbyt ścisłej diecie, lub dla rekonwalescentów.

A. Zupy (przepisy na 6 osób):

Zupa jarzynowa:

Brukwi w kawałkach drobnych pół szklanki,
marchewki w kawałkach drobnych pół szklanki,
cebuli w kawałkach drobnych pół szklanki,
pomidorów z puszki pół szklanki,
selerów w kawałkach drobnych $\frac{1}{4}$ szklanki,
kartofli w kawałkach drobnych 1 szklanka,
wody 4 szklanki,

soli 1 łyżeczkę od herbaty (strychowaną).

Wszystkie warzywa (prócz kartofli) drobno posiekane, zrumienić w maśle. Dodać wody i gotować na wolnym ogniu $1\frac{1}{2}$ — 2 godzin. Dodać pokrajane w kostkę kartofle, i po ugotowaniu podać zupę.

Zupa szpinakowa:

siekanej cebuli $\frac{1}{3}$ szklanki,
masła 4 łyżki strychowane,
mąki 3 łyżki strychowane,
mleka 4 szklanki,
gotowanego szpinaku 1 szklanka,
soli 2 łyżeczki strychowane.

Posiekać cebulkę i usmażyć na jasno żółty kolor. Dodać mąki, powoli dolać mleko i zagotować na gęstą masę. Rozprowadzić mlekiem i dodać szpinak, drobno posiekany.

M. Morzkowska.

NOWE PRAKTYCZNE ZNACZENIE DROBIU

Często już robiono próby znaczenia drobiu przy pomocy tatuowania, zawsze jednak sposób ten wykazywał brak dostatecznego udoskonalenia.

Świetne rezultaty, osiągnięte przy znaczeniu tym sposobem różnych zwierząt domowych, jak króliki, prosięta, cielęta — przy zetknięciu z delikatną skórą u drobiu napotykały na przeszkody.

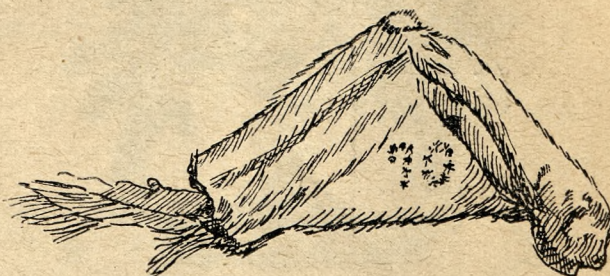
Tatuowanie polega na tem, że zapomocą specjalnych szczypcy nacinały naskórek, potem wprowadzamy w nacięte świeżo znaki rodzaj farby, nieszkodliwej dla organizmu. Farba ta przenika w głąb skóry i zalewa okoliczne pory, co przy znaczeniu zwierząt ssących nie ma żadnego ujemnego wpływu na wyrazistość znaku naciętego, gdyż skóra tych zwierząt nie



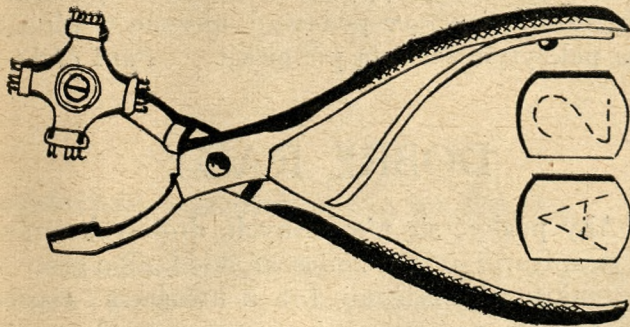
Kury znaczy się na cienkiej błonie, łączącej kości skrzydłowe

jest przezroczysta, a dostatecznie gruba, aby zakryć płamę, rozlaną pod jej naskórkiem. Kury, jak i wszelki inny drób, znaczy się na cienkiej błonie, łączącej kości skrzydłowe, gdyż to jest jedyne miejsce, pozbawione naczyń krwionośnych i nerwów, co czyni tę operację niebolesną. Z powodu cienkości tej błony najmniejszy podskórny rozlew tworzy wielką, ciemną plamę i czyni znak nacięty zupełnie nieczytelny. Obecnie, jak się dowiadujemy z pisma „Land und Frau“, można temu zapobiec, używając zamiast farby płynnej, specjalnie do tego celu przygotowany proszek, którym się świeże nacięcie skóry naciera, a który, nie rozlewając się, znaczy bardzo wyraźnie i trwale.

Dla gospodarstw, hodujących cenny drób rasowy, może sposób ten okazać się doskonałym w praktyce, gdyż tu już nie może być mowy o zamianie jednej sztuki na drugą, co się zdarza, niestety dosyć często, przy używaniu samych tylko obrączek. Osobiście miałam w użyciu, zdaje się, wszystkie różnorodne obrączki, nie znalazłam jednak ani jednego ga-



Znak po wytatuowaniu



Szczypce do nacinania znaków

tunku, któregoby kury mniej lub więcej nie gubiły. Prowadząc kontrolę nieśności, jest to kłopot nie byle jaki, wyszukać z pomiędzy choćby tylko kilkudziesięciu kur, która z nich właśnie swój numer zatraciła. Jeżeli mamy je znaczone pod skrzydłem, jeden rzut oka wykaże nam, co to za jedna. Nie twierdzą bynajmniej, aby obrączki były niepraktyczne, owszem, są one daleko wygodniejsze nawet do codziennej kontroli; tatuowanie jest jednak pewniejsze. Częściowo jest to też zabezpieczenie przed kradzieżą; złodzieje, znając sposób znaczenia drobiu w danym gospodarstwie i wiedząc, że znaków tych nietylko byle czem, ale wogóle niczem pozbyć się nie można — będą kur-niki takie omijali.

Szczypce do nacinania znaków wyglądem swym przypominają płaskie obciążki, do których na jednym końcu przymocowano ruchome kółko z przyrządem do zakładania stempli. Szczypców takich mamy w kraju już parę rodzajów; przypuszczam, że przy liczniejszych zamówieniach pp. hodowców dałoby się i proszek odpowiedni do tego sprowadzić, gdyż chwilowo, o ile wiem, w kraju u nas jeszcze go nie posiadamy.

A. D.

**Nareszcie każda z Pań będzie mogła własno-
ręcznie ozdobić sobie modną suknię,
szal lub apaszkę**

bo ukazała się książeczka p. t.

**MALOWANIE,
TAMPONOWANIE,
LIWORYZACJA**

**która uczy wykonania tych wszystkich robót
i daje wzory naturalnej wielkości**

Cena 1 zł. 50 gr. Z przesyłką poczt. 1 zł. 80 gr.

Do nabycia w Tow. Wydawn. „Bluszcz”, Warszawa, Pl. Zamkowy 9.
Konta P. K. O. Nr. 13.555.

PRZEPISY GOSPODARSKIE

SCHAB MARYNOWANY.

Polędwicę wieprzową, czyli schab zdjąć z kości, zbić mocno, włożyć w porcelanowe naczynie, pokryć cały krajana w płatki cebulą, paru listkami, pieprzem i zielem w ziarnkach, paru goździkami, uakonić zalać lekkim octem po połowie z czerwonym winem. Nacisnąć talerzem i ciężarkiem. Przewracać codziennie. Niech tak leży od trzech dni do tygodnia. Wyjąć z marynaty, obetrzeć ściereczką, osolić, naspikować wędzoną słoninką. Rozpuścić na brytfannie łyżkę masła, zrumienić w niem schab i dalej piec, polewając marynatą, aż mięso zmięknie. Na dokończeniu przyprószyć łyżką mąki i podlać pół szklanką kwaśnej śmietany. Schab pokrajać w cienkie plastry i obłożyć na półmisku duszonymi buraczkami lub makaronem. Sos przetrzeć przez durszlak lub gęste sito, częścią polać mięso, resztę podać w sosjerce.

CIEŁĘCY MOSTEK NADZIEWANY.

Dwa kilo cięłego mostku namoczyć na pół godziny w zimnej wodzie, wyjąć, starannie obetrzeć ściereczką, oddzielić górną warstwę mięsa od dolnej, pokrywającej żeberka, i nadziać następującym farszem. Piętnaście deka surowego masła utrzeć na śmietanę, zmieszać z dużą garścią pietruszki i koperku, wbić jedno duże lub dwa małe jaja, dodać szklankę tartej bułeczki i tyle zimnego rosółu lub wody, aby farsz się nie rozsypywał, osolić do smaku, dodać odrobiny pieprzu, nałożyć w środek mostka, zaszyć etwór niemi. Mostek posolić dopiero przed samem pieczeniem, aby mięso nie szczerwieniało. Na brytfannie rozpuścić łyżkę masła, ułożyć na niem mostek, posmarować masłem powierzchni, wstawić w dobrze gorący piec, aby się od razu dobrze zrumienił. Potem piec, polewając masłem, a w razie, gdyby go było za mało, dodać parę łyżek wody. Podając, wyjąć nici, pokrajać według kostek i podawać, jak kurczęta, z sałatą zieloną, zaprawioną śmietaną. Można też taki mostek podać z jaką jarzyną: marchewką, szpinakiem, purée kartoflanem itp.

SUFLET Z MARCHWI.

Pół kilo marchwi oskrobać i namoczyć na godzinę parę w zimnej wodzie, aby usunąć piwniczny zapach, występujący w niej zwykle na wiosnę. Pokrajać marchew w kostkę i udusić w niedużej ilości wody z łyżką masła. Marchew ostudzić, przetrzeć przez durszlak lub przepuścić przez maszynkę. Do-

dać trzy łyżki tartej bułeczki, trzy żółtka, masło, w którym się dusiła; utrzeć na gładką masę, osolić do smaku, dodać trochę utartej gąłki muszkatołowej lub siekanego koperku, białka, ubite na sztywną pianę. Ułożyć na półmiesieczku ogniotrwałym, wysmarowanym masłem, i wstawić na kwadrans do średnio gorącego pieca. Gdy się lekko zrumieni, podawać zaraz, aby nie opadł. Łyżkę masła zagotować w rondelku z dwiema łyżkami kwaśnej śmietany, osolić i podać to w sosjerce do sufletu.

RABARBARUM SMAŻONE.

Najgrubsze, bardzo jasne, łodygi rabarbaru pokrajać na kawałki 8 — 10 centymetrowe, zblanżetować przez pół minuty w gorącej wodzie, odcedzić i ostudzić. Na pół kilo łodyg rozbić dwa żółtka z dwiema dużymi łyżkami mąki, łyżką cukru - pudru, pół łyżeczką soli i taką ilością mleka lub wody, aby ciasto było gęstsze, niż na naleśniki. Dodać białka, ubite na sztywną pianę. W cieście tem maczać kawałki rabarbaru i natychmiast smażyć na rozpalonym na

patelni szmalcu. Obsypywać cukrem z cynamonem lub z wanilią i gorące podawać, ułożone w piramidkę na pokrytym serwetą półmisku. *Pani Elżbieta.*

DOBRE RADY

Aby pozbyć się niecznośnych, drobnych mrówek ze spiżarni, trzeba zmieszać miód, albo gęsty syrop z cukru z drożdżami, lub z kwaśnym ciastem. Mieszaninę tę porozkładać na miseczkach w miejscach, uczęszczanych przez mrówki. Sposób ten wytępi mrówki w krótkim czasie, ponieważ drożdże są dla nich trucizną.

* * *

Dobrze wymyte i wysuszone gąłki posypać obficie mialkim cukrem i porozkładać w miejscach, gdzie są mrówki. Zwabione zapachem cukru, osiadają na gąłkach, które wówczas trzeba szybko wrzucać w przygotowany na miskach ukrop. Powtarzać to, dopóki się mrówek zupełnie nie wytępi. Można też oblać gąłki dobrze osłodzoną wodą i porozkładać je lepkie i wilgotne w odpowiednich miejscach.

Nakładem Tow. Wyd.
„Bluszcz” ukazała się

KSIĄŻKA RACHUNKOWA

KOBIETY
POLSKIEJ

która powinna się znaleźć w rękach każdej pani domu, ułatwia bowiem znakomicie racjonalne prowadzenie gospodarstwa. Umiejętnie, według najnowszych zasad organizacyjnych, rozłożone rubryki dają przejrzysty obraz wydatków i wpływów domowych.

Cena 4 zł. — Z przesyłką pocztową 4 zł. 50 gr.

Dla czytelniczek „Bluszczu”, które przesyłają prenumeratę wprost do Administracji, cena zniżona: 3 zł. 50 gr. z przes. poczt., o ile sumę powyższą wpłacą przed 10-ym maja r. b.

Należność i zamówienia przysyłać do Tow. Wyd. „Bluszcz”, Warszawa, Plac Zamkowy 9. Konto P.K.O. 13.555

WŁOSÓW WYPADANIE I ŁUPIEŻ USUWAJĄ
ESENCJA I MYDŁO
CHINOWO-CHMIELOWE (z „KOGUTKIEM”).
SPRZEDAJĄ APTEKI, SKŁADY APTECZNE
I PERFUMERJE. — GŁÓWNY SKŁAD:
APTEKA A. GAŚCECKIEGO W WARSZAWIE, FRETA 16.

HEMOROIDY CZOPKI **„VARICOL”**
HEMOROIDALNE.
USUWAJĄ BÓL, SWĘDZENIE, PIECZENIE I KRWA-
WIENIE. ZMNIEJSZAJĄ GUZY (ŻYLAKI). — SPRZE-
DAJĄ WIEKSZE APTEKI. — SKŁAD GŁÓWNY —
APTEKA A. GAŚCECKIEGO, W WARSZAWIE, UL. FRETA 16.
ORYGINALNE Z MARKĄ FABRYCZNĄ „KOGUT”

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocz-
nie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Plac Zamkowy 9. Konto P.K.O. — Warszawa 3700

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.
Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW
Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Telef. 244-75,
Druk, Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rymska 8, tel. 244-18.

Nasza Mównica

Psychiczne warunki pracy na Śląsku.

Śląsk materialnie lepiej wyposaża swych komunalnych i państwowych pracowników, niż inne województwa, gdyż wypłaca prócz pensji 40%-owy dodatek. Zachęca to wielu z poza Śląska. Pozatem nie jest do pogardzenia dogodna komunikacja, z powodu gęstej sieci kolejowej i tramwajowo-autobusowej, lepsze mieszkanie i wygodniejsze drogi, kina, teatr w Katowicach, który lokalne przedstawienia urządza po całym województwie, sklepy dość obficie zaopatrzone, księgarnie — wogóle materialna kultura, odziedziczona tutaj po Niemcach, a pogłębiana troskliwie przez Polaków. Człowieka uspołecznionego zadziwi, może porwie, silnie zorganizowane życie społeczne, wielka ilość organizacji. Widzi się to w pochodach, na uroczystościach narodowych: idą ze sztandarami organizacje jedne za drugimi.

Ale na Śląsku nie wolno olśnić się bogactwem, „zatyć chlebem“, bogacić się, t. j. „ssać dojną śląską krowę“, jak mówią o takich jednostkach ślązacy. Tu trzeba pracować bardzo gorliwie, umiejętnie, taktownie, rozumnie i bezinteresownie; trzeba mieć stałe *przeświadczenie o konieczności najlepiej spełnionego obowiązku*; trzeba pracować więcej, niż gdziekolwiek w Polsce, aż do zagubienia swego „ja“ na ciernistej często drodze samozaparcia. *trzeba brać, ale więcej jeszcze dawać!*

Bo Śląsk — to nietylko diament Polski, ale i kresowa zachodnia strażnica, pod którą ryje ciągle praca „Volksbundu“ i którą stara się zniszczyć silnie zorganizowana nienawiść niemiecka, wspomagana przez konwencję genewską, napisaną dla obrony „uciskanej mniejszości niemieckiej“, a która powinna raczej bronić przed Niemcami uciskanych Polaków. Dowodem tego choćby walna kampanja stoczona w 1925 i 1926 roku o dzieci polskie, drogą kłamstwa i przekupstwa wpisane do szkół niemieckich; dowodem ciągle skargi Niemców (Volksbundu) przed Ligą Narodów na ucisk szkolny w Polsce. Wiemy także, jakie orgje święci przekupstwo podczas wyborów do samorządów lub sejmów, albo co się działo podczas spisu ludności na Śląsku.

To jest jedna bardzo wielka trudność dla ludzi ofiarnych, „ślubionych“ pracy. Są inne, bolesniejsze trudności, bo wewnętrzne: *posieter demoralizacji* plebisytowej i obecnej roboty niemieckiej — *materjalizm* sprzedawania się jednej lub drugiej stronie na licytacji „kto da więcej“ — oczywiście, licytacji politycznej.

Prócz tego, rozdmuchiwane gorliwie przez partje (partyjników) i Niemców, „rozdwojenie serc“, które wyraża się obecnie w modnym okrzyku: „Śląsk dla ślązaków!“, „Precz z przybyszami, niech idą za Przemśzę!“. Oczywiście, że Śląsk dla ślązaków, o ile na daną posadę zgłasza się ślązak i nie-ślązak, mający obydwa jednakie kwalifikacje; ale czy słuszne jest to hasło przy małych, nieodpowiednich kwalifikacjach ślązaka? Czyż troska ojców miast o przeludnienie i brak pracy dla bezrobotnych na tej drodze zostanie usunięta? Myślę, że to jest tylko półśrodek... Coby się stało z Polską, gdyby wszystkie województwa te same hasła wysuwały? To są właśnie te najboleśniejsze sprawy, bo siejące nieufność do pracy najofiarniejszej. Dlatego tem mocniej trzeba budować, tem bardziej zapominać i wybaczać jednemu i drugiemu, ale tem więcej sił do takiej pracy potrzeba. Dlatego życie na Śląsku odbywa się w napięciu, w postawie na baczność, wśród częstego zniechęcenia, a rzadkiej radości...

To są ogólne warunki pracy; podlega im także praca kobieca, ale jest jeszcze bardziej utrudniana z powodu niewłaściwego nastawienia się społeczeństwa tutejszego do pracy kobiet, ich obowiązków i przywilejów. Pokutuje w tutejszem społeczeństwie niemieckie pojęcie, że praca kobiet powinna się zamykać w kuchni, że kobieta mniej wartościowo pracuje i sama jest mniej wartościowa od mężczyzny. Jest w tem może obawa przed kobietą inteligencją, wyższością, moment rywalizacji o stanowiska, ale praktycznie utrudnia to pracę kobietom, szczególnie pracę zawodową i na wybitniejszych stanowiskach.

Dlatego chętnie odaje się kobietom pracę kulturalno-oświatową, bo one to dobrze robią, ale, broń Boże, przyznać im prawa i uczciwie szanować ich pracę! Kobiety dzielnie pracują w harcerstwie, w Tow. św. Wincentego à Paulo (pomoc dla ubogich na wielką skalę), w Związku Obrony Kresów Zachodnich, w Radach Rodzicielskich, Tygodniu Dziecka, w Czerwonym Krzyżu, w Kołach Polek, Narodowej Organizacji Kobiet i t. d.; ale w Magistratach nie przyjmuje się kobiet na urzędniczki, do szkół powszechnych chyba za wielką protekcją przyjmuje się nauczycielki, no i w sejmie śląskim, wbrew konstytucji (par. 95 i 101), uchwalilo się ustawę o celibacie nauczycielek, mocą której każda nauczycielka szkół powszechnych i średnich traci, po wyjściu za mąż, posadę.

Pamiętam dyskusje przed uchwaleniem tej ustawy: moralisci wysuwali, jako argument za celibatem,

dobro rodziny; społecznicy twierdzili, że problem bezrobocia każe odebrać żonie pracę, skoro mąż jest bezrobotny. W rezultacie zdecydowały całkiem drobne, pozakulisowe sprawy i wyrosła prawna, społeczna i moralna krzywda kobiet. We Francji nie mają kobiety prawa głosowania, ale mają prawo wyboru swobodnej pracy. My tymczasem na Śląsku *głosować możemy*, ale po zamążpójściu musimy pożegnać się z pracą nauczycielską, choćby ona była niesłychanie pożyteczna dla szkoły. Czyż to nie dziwne w państwie tak demokratycznym, jak Polska?

Czemu nasze posłanki nie zajmują się tą sprawą? przecież to dla nich wdzięczne pole obrony praw kobiety! Można zawsze usunąć z posady kobietę, źle pracującą, ale dyskwalifikować ją jedynie z powodu zamążpójścia — to stanowczo wielce niemoralne i aspołeczne!

Dr. prof. Helena Spoczyńska.

Czy mężatka ma pracować? W odpowiedzi p. St. J. P. i Częstochowiance.

Ogólnie znanem zjawiskiem społecznym i politycznym jest, że po wszelkich zdobyczach postępu przychodzi fala reakcji.

Pewnie dlatego, że w społeczeństwie znajdują się zawsze ludzie, nie lubiący gwałtownych skoków, i gdy coś poszło szybko naprzód — to starają się cofać, cofać za wszelką cenę.

Takie refleksje nasunęły mi się, po przeczytaniu dwóch listów w „Naszej Mównicy”: Pani St. J. P. w Nr. 13 i Częstochowianki w Nr. 14 „Bluszczu”.

Obie panie poruszają sprawę bardzo dla nas, kobiet, ważną: kwestję bytu i pracy zawodowej — ale przemawiają w sposób taki, jakby były właśnie zdania, że należy... cofnąć postęp.

Kobiety od lat kilkudziesięciu walczyły o równouprawnienie do wiedzy i do pracy. Tę ostatnią narzuciło im siłą konieczności życie i warunki ekonomiczne, a tymczasem pani St. J. P. twierdzi, że wiele kobiet pracuje zawodowo, dlatego, że *moli* biuro, szkołę, szpital i t. p. od domu, gdyż gospodarstwo i dzieci męczą je i nudzą.

Ależ, proszę Sz. Pani, co to ma do rzeczy!? Pewna liczba ludzi, pracujących zawodowo — zarówno mężczyźni, jak i kobiet — pracuje, bo musi. Niech dziś wygrają wielki los, lub dostaną spadek, a pracować nie będą. To jedni. Drudzy zaś pracują z zamiłowania do obranego zawodu, i *kobieta ma do tej pracy prawo* tak samo, jak do głosowania i uniwersytetu.

A tymczasem, zarówno pani St. J. P., jak i Częstochowianka, tego prawa jej zaprzeczają! Pani St. J. P. pisze, że gdy kobieta, żona i matka — pracuje zawodowo, to chyba musi mieć w domu kogoś z rodziny, bo inaczej służba ją okrada, dzieci są zaniedbane i dom w nieporządku. Częstochowianka znów mówi, że jest „wrogiem” (aż!) pracy zawodowej kobiety zamężnej, gdyż z chwilą, gdy kobieta została matką, „życie wymaga od niej, by pracę zawodową rzuciła!! Czyż to możliwe, proszę pań?

Wszystkie te argumenty przytaczano 50 lat temu. Wysuwali je ci, którzy twierdzili, że rodzina upadnie i młode pokolenie wymrze, gdy kobieta wyjdzie z gineceum! I właśnie życie przeszło nad nimi do porządku dziennego, ani się obejrzało!

Czyż to jest demokratycznie, i społecznie i... altruistycznie, abyśmy my, kobiety z inteligencji, które tworzymy tylko część narodu, twierdziły, że nam nie wolno pracować, gdyż musimy tylko wychowywać dzieci!? A setki tysięcy robotnic, proszę pań, kobiet wiejskich, lub z drobnego mieszczaństwa, zmuszonych ciężką pracą dopomagać rodzinie — czy ich dzieci są gorsze? to nie są obywatele Polski, mający takie samo prawo do zdrowia i kultury? A weźmy inną, wyższą znów sferę, kobiety bardzo zamożne — te nie pracują w biurach, szkołach, warsztatach, ale czy dlatego ciągle przebywają w domu, same wszystko robiąc i doglądając wszystkiego? czy wymagał kto kiedykolwiek od nich tego, lub robił im z tego zarzuty? czy pani Curie Skłodowska, posłanki, uczone, lekarki, społecznice, żony ludzi na wyższych stanowiskach państwowych, zmuszone do reprezentacji, zabierającej nieraz o wiele więcej czasu od kilku godzin pracy zawodowej — czy wszystkie one są złemi matkami i żonami, czy dom ich jest w nieładzie?

Tak twierdzono, ale... znów 50 lat temu!

Dziś zarówno w Polsce, jak i w całym świecie, statystyka wykazuje, że bez pracy kobiet stanęłaby machina państwowa, przemysł, szkolnictwo i kultura! A dzieci rosną zdrowo i umierają mniej, bo wogóle śmiertelność się zmniejsza, a kultura powiększa.

To, co pisze p. St. J. P. o poszanowaniu pracy domowej kobiet — jest słuszne. Każdy człowiek ma prawo do wyboru swego zawodu: jeśli kobieta woli pracę w gospodarstwie, jest — jak tyle jeszcze obecnie (niestety, jednak, rzec muszę) kobiet, niewykształcona fachowo, lub warunki tak się układają — niech pracuje tylko w domu, wychowując dzieci. Jeśli spełnia to zadanie z pewnem choć przygotowaniem, zamiłowaniem, z zasobem wiadomości, zarówno gospodarskich, jak, co ważniejsze, *pedagogicznych* — praca jej musi być ceniona tak samo, jak każdy inny zawód. Ale to też musi być *zawód*, traktowany poważnie. Bo dziwna rzecz; dlaczego ci wszyscy, którzy łamią ręce nad tem, że kobieta pracuje za domem, tak mało troszczą się o to, jak pracuje ona w domu, a zwłaszcza, jaką jest wychowawczynią dzieci? — matka — to i dosyć! Do najbliższego fachu trzeba mieć przygotowanie, ale gdy kobieta zostaje matką, musi — podług Częstochowianki i p. St. J. P. — rzucić swój zawód, aby zabrać się do pracy wychowawczej, choćby nie miała o niej pojęcia, co to szkodzi!

Nie, proszę pani, praca domowa gospodyni domu, praca wychowawcza matki, — jeśli ona uważa, iż sama, bez pomocy fachowej, musi wychowywać dzieci — to zawód i b. poważny, i ciężki. I powiem paniom jeszcze, dlaczego ta praca jest — jak twierdzi p. St. J. P. — często lekceważona. Dla trzech przyczyn: primo, że duża liczba kobiet, nie pracujących zawodowo, niewiele co umie (nie wszystkie, naturalnie, ale dużo); secundo, że wiele tych gospodarstw

idzie marnie, z wychowaniem włącznie, (tez nie wszystkie, ale dużo) i tertio, że tak, jak to jest dziś pojmowane i wypełniane — w większości wypadków — jest to łatwiejsze i miłsze zajęcie! Dowód? Trzeba się spytać różnych młodych osób, traktujących swój zawód, jako zło konieczne, czy nie wolą, wyszedłszy z domu, rzucić pracę? Przekonamy się, co odpowiedzą! O ile łatwiej i milej — dysponować służącą i bawić się z dziećmi, pracując wtedy, gdy jest czas i ochota, niż stawać na godzinę do biura, szkoły lub warsztatu!

Dlatego się mówi „pani ma czas“. — Nie dlatego, że praca domowa nie przynosi nic na pierwszego.

A teraz parę słów o głównym temacie listu Częstochowianki:

Stwierdziwszy, że kobiety zamężne i matki nie powinny pracować zawodowo, stawia Pani pytanie, co ma kobieta robić, gdy mąż, jedyny żywiciel rodziny, umiera, lub ulega nieszczęśliwemu wypadkowi? Kobieta bowiem jest albo nieprzygotowana do pracy wogóle, albo przez lat 10, gdy dzieci były małe, zapomniała swego zawodu, wyszła z wprawy, stosunków etc.

A więc?

A więc kobieta zamężna ma nie pracować, aby potem stanąć wobec katastrofy. A jako środek zabezpieczający od takich katastrof, radzi Sz. Częstochowianka haft, modniarstwo, etc.

Czyż to jest możliwe!? Czy nauczycielka, urzędniczka, adwokatka, ma, po wyjściu z domu „przerzucać się“ do modniarstwa? Czy może wszystkie kobiety mają znów, jak radzono im przed laty, być krawcowymi i hafciarkami? Przepraszam Panią, to jest życiowy nonsens. Typowy objaw, o którym mówiłam na początku niniejszego listu, życie poszło szybko naprzód — większość kobiet pracuje, a te, które nie pracują, nie mogą oswoić się z tym skokiem i nawracają gwałtownie do dawnych form — tymczasem trzeba znaleźć złoty środek.

Praca domowa kobiet powinna być szanowana; więcej — jak się to już zaczyna w Ameryce — wynagradzana, objęta ubezpieczeniami społecznymi i t. p. — ale musi być poważnie traktowana. Duża zaś większość kobiet, pracujących zawodowo, nie może tej pracy zawodowej przerywać, chyba w wyjątkowych wypadkach, bo ich praca podtrzymuje rodzinę i zabezpiecza ją w razie śmierci lub kalectwa ojca. Najważniejszym zaś środkiem w razie niezdolności do pracy jednego z rodziców i zmniejszenia się dochodów rodziny, są, mimochodem tylko wspomniane przez Częstochowiankę, ubezpieczenia — jaknajszerszej pojęte. Drażliwość w tych sprawach jest wytworem naszej nieudolności i nieprzygotowania do życia, a także i nieumiejętności oszczędzania. Przytoczę znów przykład Ameryki. Amerykanin ubezpiecza dziecko w kołysce, i żonę, i siebie. Ubezpiecza na dzieśnię ewentualności — i od śmierci, i od kalectwa, choroby, wypadku, i na dłuższy wypoczynek po kilkuletniej pracy nawet!

Obecnie nasza polska Kasa Oszczędności (P. K. O.), wprowadziła bardzo szeroki system oszczędno-

ściowy i ubezpieczeniowy — zapoznajmy się z nim, oszczędzajmy i ubezpieczajmy się.

Umożliwi to — właśnie praca zarobkowa żony. Jej dochód, jej grosz dopomoże tam, gdzie mąż i ojciec nie może sam na takie świadczenia i oszczędności wystarczyć.

Więc właśnie w imię bytu rodziny, pracujmy, twórzmy zapas na czarną godzinę, a nie cofajmy życia w średniowieczne warunki, gdy uboga wdowa musiała z dziećmi cierpieć biedę, a opędać się od niej mogła tylko szcieniem!

Walerja Mał...cka
z Kaliskiego.

Nie obojętność, a czyn!

W dzisiejszej „Mównicy“ chciałam poruszyć kwestję na temat, czy my, kobiety - obywatelki, winnyśmy być zupełnie obojętne na sprawy polityczne?

Stale słyszę zdania w dyskusjach panów, że kobiety absolutnie nie powinny się wtrącać do polityki, a zwłaszcza żony i matki. Niestety, ja w danym wypadku jestem innego zdania. Nie widzę koniecznie potrzeby, aby kobiety należały do specjalnych ugrupowań politycznych, żeby urządzały wiece i odczyty na tle politycznym, prowadziły zaciętą walkę agitacyjną, zaniedbując tem samem swoje domowe, lub zawodowe obowiązki. Jednak pewien kierunek polityczny, indywidualny, każda kobieta mieć musi i powinna. Praca polityczna jest bardzo ważnym czynnikiem, w naszych obecnych warunkach. Uzyskawszy równouprawnienie, nie możemy zajmować w tej dziedzinie pośledniego miejsca. Musimy być społecznie i politycznie uświadomione, *musimy mieć większą ilość posłanek w sejmie, aby prawnie wyrobić sobie poprawę dotychczasowych stosunków, panujących w świecie kobiecym.*

Kobiety, wchodząc w życie polityczne, nie wnoszą doń pierwiastka partyjnego, a raczej stają gorliwie do pracy nad dobrobytem państwa, w myśl hasła; „przez szczęście Ojczyzny, do szczęścia jednostki“.

Duże pole działania otwiera się w chwili obecnej i ogrom obowiązków leży przed nami. Tyle mamy do zrobienia a uchylać się przed pracą nie wolno, Polska od nas tego wymaga.

W pierwszym więc rzędzie, winnyśmy gorliwie pracować, nad poszanowaniem władzy. Nietylko słowem, ale i czynem własnym uświadamiać ogół, a przede wszystkim — młodzież.

Na nas spoczywa święty obowiązek wpajania tych zdrowych zasad w młode pokolenia.

Następnie naszym obowiązkiem jest wypowiedzenie walki nierządowi, a co za tem idzie, zwalczanie handlu żywym towarem, opieka nad matką uposiedzoną i jej dzieckiem, walka o godność kobiety i jej prawa. To są cele naszej pracy.

Pracujmy usilnie nad uświadamianiem obywatelskiem kobiet, weźmy się do czynu energicznie, z zaparciem się siebie, aby powetować czas stracony.

Od dawna jest znana praca kobiet na polu politycznym i społecznym.

W historii naszej mamy bohaterkie postacie, które brały czynny udział w walkach o niepodległość, jak np. Platerówna i jej podobne. Duchy ich winny nam przyświecać i zachęcać do podjęcia pracy dla dobrej Ojczyzny. *Pola Pawłowska — Krasnystaw.*

O scentralizowanie dobroczynności (w odpowiedzi p. W. R. — Kraków.)

Scentralizować dobroczynność — to nie znaczy wcale znieść plagę żebractwa. W Krakowie czyniono już starania, aby zwalczyć żebractwo, wydano specjalne bloczki (obiadowe, śniadaniowe); niestety, publiczność woli odczepić się paru groszami od natrętnego żebraka, niż kupić bloczki, lub słuchać złorzeczeń dziada na widok podawanej karteczki.

Walczyć z nędzą (a więc i z żebractwem) skutecznie Komitety parafjalne (przy każdej parafji), złączone w Związek pod przewodnictwem Metropolity ks. Sapiehy. Do najbliższego więc komitetu parafjalnego lub do samego związku (Wolska 6, parter) trzeba się skierować, a tak gorąco czujący członek zostanie przyjęty z otwartymi rękami.

Co się tyczy zaś scentralizowania dobroczynności — to po wielu debatach wspólnych na ten temat okazało się, że każdy poszczególny komitet, Towarzystwo, czy Zakład łatwiej i więcej może uzyskać członków i pieniędzy, — niż Centralny Związek. Ochronki są złączone we wspólnym Związku, komitety parafjalne, a również i Zakłady Sieroce (Wojewódzki związek); ale oprócz tego pracuje wiele Stowarzyszeń na tem polu, czy to w sekcjach (jak naprz. Kat. Związek Polek, Nar. Org. Kob., Sodalicje), czy też specjalnie dobroczynne Instytucje (Rodzina Sieroca, Tow. św. Wincentego à Paulo, Arcybractwo Miłosierdzia), a mimo to ciągle nam brak i ludzi do pracy, i członków wspierających, którzyby stałą miesięczną wkładką zasilali nasze fundusze. Ludzi, ludzi ofiarnych i pieniędzy tylko potrzeba. *Mi — mo.*

Co radzić? (w odpowiedzi p. Mar-Mil)

Trudno znaleźć dobrą radę w tak wyjątkowo ciężkim położeniu Sz. Pani. Czy mąż pracował w jakim prywatnym przedsiębiorstwie? Czy nie był ubezpieczony? Jeżeli tak — to przedsiębiorstwo ponosi winę zaniedbania i Sz. Pani należy się odszkodowanie.

Następnie — oprócz zwolnienia od zaległej opłaty — trzeba rozpocząć starania, aby chory był umieszczony bezpłatnie — względnie na koszt gminy, do której należał. Sz. Pani, mając dzieci na utrzymaniu, nie może przecież jeszcze utrzymywać męża chorego. O ile był ubezpieczony, koszt leczenia ponosi Kasa Chorych. Proszę przysłać szczegółowe dane (gdzie

mąż pracował, kiedy zachorował, w jakim wieku są dzieci, gdzie chory umieszczony), a po naradzie z adwokatem prześle odpowiednie wskazówki.

Doskonale Sz. Pani zrobiła, mieszkając z dziećmi na wsi — taniej to znacznie kosztuje i zdrowiej. O ile teraz kursów prowadzić nie można, możeby szybciej dało się coś zarobić? — dziewczęta wiejskie lubią się ubierać „modnie“. *M. Mossoczowa — Kraków.*

Jak się leczy lud wiejski.

Wiele jest miejscowości, dotkniętych klęską nieurodzaju, między niemi powiat Świeciański. Rząd wyasygnował na ten cel pewne sumy pieniężne i różnym urzędom wypadło prowadzić akcję dożywiania dzieci, względnie wspomagania najbiedniejszej ludności. Różni — biedniejsi i bogatsi gospodarze starają się o to, by ich dzieciom dano w szkole „zakąski“. Pewnego popołudnia przychodzi kobieta, której dziewczynce nie przyznano dożywiania; udało się przekonać ją, że słusznie się dzieje, bo zalicza się ją do zamożniejszych rodzin. Kiedy już miała wyjść — kierowniczka zapytała ją: dlaczego jej córka jest wiecznie senna, nie interesuje się lekcją — apatyczna, co nie jest właściwe w jej wieku? Wówczas kobieta zaczęła opowiadać o chorobie córki na „przełknienie“, po której dziecko takie już zostało.

Kiedyś czytałam powieści Rodziewiczówny i Orzeszkowej o chłopskim życiu i strasznej ich doli, ale zdawało mi się to być fantazją. Dziś widzę, niestety, że prawdę przedstawiały nasze autorki. Chłop nasz dziś jeszcze wierzy w „zamowy“ i to święcie wierzy, tylko zachorzy, zdaniem jego, zdolni są wyleczyć.

„Dziecko się przelenkło i zachorowało na przełknienie“ — mówi matka — „dawali my dawno różne ziołki, nic nie pomogło, zaczęli okadzać ziółkami i też nic. Nic jeść nie może, ani gadać, dała tedy kobieta miała święcone ziołki, my jej i tych dali, tak troche pomogło i choroba zaczęła na wierzch wywierać, czarna zrobiła się i konwulsja jej targa i targa. A potem nic, leży, jak nieżywa tylko zęby wszczeniwszy. Poszli my do tego człowieka, co przełęk i prosili, żeb dał wody z gęby, ale nijak niechciał dawać. Ale jak zobaczyli, co dziecko już umiera, tak po rękach całowała jego i prosiła żeb dołby, nu i dał wody w gęby, ale już późno było i nie pomogło. Musieli my więc do człowieka od Kluszczań, co leczy (miejscowość Kluszczań) on dał jej ziółków kazał ręce i nogi solo obwiązywać i na głowę kłaść kompresy tak i pomogło“.

Oczywiście, środek znachora okazał się skutecznym, bo dziecko wyzdrowiało — silny musiało mieć organizm, skoro przeniosło tę kurację. Dużo, niestety, jest tych nieświadomych barbarzyńców i nie można ich przekonać o tem, że źle robią. Ale, na miłość Boga, jaka jest na to rada?

K. Linkowska — Boloza.